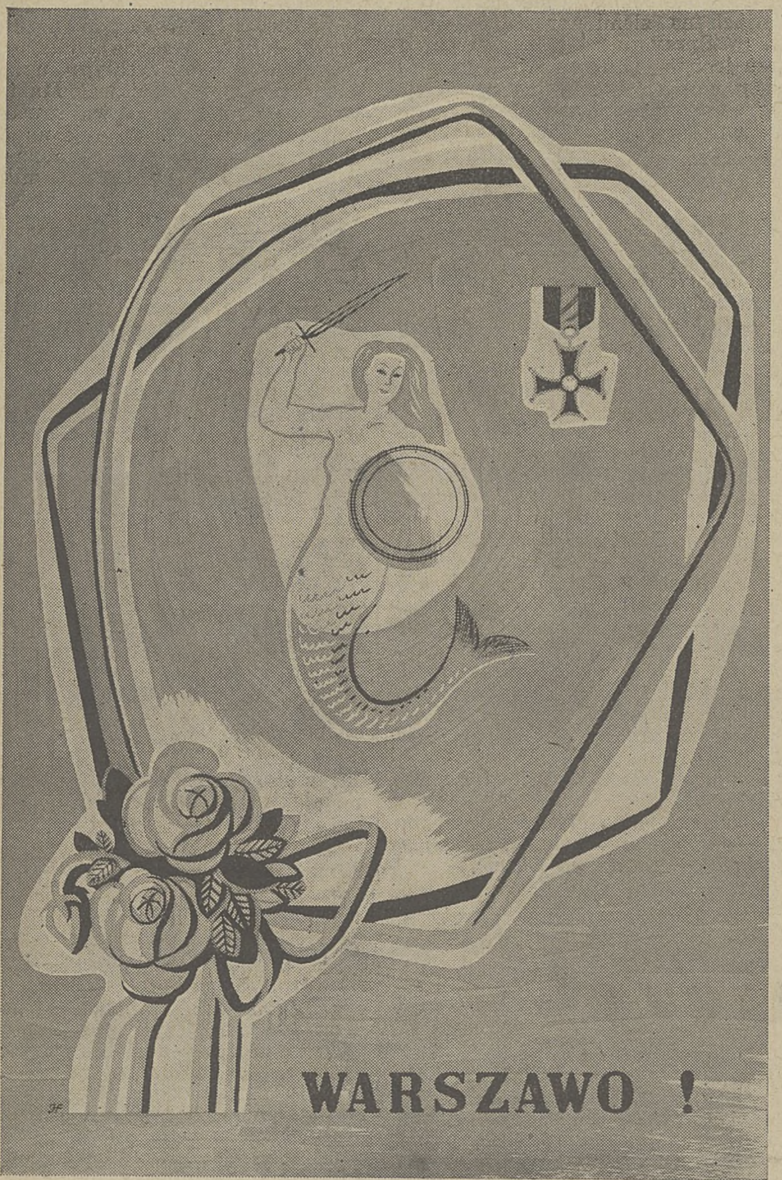
POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 14-go października 1944r.* **Rok VI. Nr. 41**

TRADYCJA WIELKOŚCI



Rysował JERZY FACZYŃSKI

UPADEK STOLICY

Byłoby rzeczą niegodną ofiary Warszawy, gdybyśmy, gwoli taniemu krzepieniu serc, sypali na jej krwawe gruzy piasek szumnych słów i unikali lękliwie właściwej oceny i właściwych określeń. Powstanie warszawskie oddało sprawie polskiej bezcenne usługi, upadek jednak stolicy nie jest żadnym zwycięstwem: jest klęską, wielką klęską. Główny ośrodek akcji niepodległościowej uległ co najmniej rozproszeniu: Cały niemal Korpus Warszawski Armii Krajowej przestał istnieć: kto nie poległ, dostał się do niewoli. Ludność Warszawy — owa bohaterska ludność, godna tradycyj Kilińskich i Okrzejów, kryjąca pod maską kpiarskiej trzeźwości, gotowość do największych poświęceń — w obozach, lub na wieki wieczne pod gruzami ukochanego miasta. Sama stolica — prawie całkowicie zniszczona. Można na jej miejscu wznieść nowe, stokroć wspanialsze miasto, nikt i nic jednak nie zastąpi tego, z czym związało się ukochanie pokoleń polskich i co pamięć przeszłego bohaterstwa przekazywało potomności. Owo miasto kontrastów Starego Rynku z wieńcem ciasnych, krętych uliczek dokoła i szerokich rzutów epoki stanisławowskiej istnieje tylko w nas samych: nigdy już nie ujrzą go nasze oczy.

Przyszłość okaże, dlaczego tak się stało. Ona to odnajdzie odpowiedź na pytanie, czy upadek Warszawy był koniecznością, wynikłą z fatalnego zbiegu wydarzeń, czy też kto i w jakiej mierze upadku tego był przyczyną. Jedno jest pewne: ani Gen. Bór, ani nikt inny w Warszawie nie zawinił tego, co spotkało stolicę. Nikt z nich nie mógł przewidzieć, że pobite i cofające się w nieładzie wojska niemieckie zdołają zatrzymać na linii Wisły, nie mającej większego znaczenia obronnego, zwycięską Armię Czerwoną i to w momencie, gdy ciężkie boje na zachodzie pozbawiły Niemców swobody użycia ostatnich rezerw strategicznych. Świeża porażka Sprzymierzonych pod Arnhem przypomniała starą prawdę, że na wojnie najlepiej nawet przygotowana i najostrożniej uplanowana operacja skończyć się może niespodzianym niepowodzeniem. Krytykom powstania warszawskiego warto dać to pod rozwagę, warto też uprzytomnić stosunek spokojny i godny społeczeństwa angielskiego do tego faktu oraz oklaski w kinach, gdy na ekranie ukazuje się postać mężnego dowódcy brytyjskiej dywizji spadochronowej, ocalałego z pola boju.

Mimo całego ogromu strat — klęska Warszawy nie jest jednak katastrofą. Ani utrata wielu dywizyj na ziemiach, zajętych przez Rosję, ani utrata Korpusu Warszawskiego — nie unicestwiły Armii Krajowej, która w dalszym ciągu w codziennych, mało efektownych, lecz skutecznych walkach zadaje Niemcom cios po ciosie. Byłoby niedocenieniem narodu polskiego mniemać, że upadek Warszawy przerwie tę walkę, lub pozbawi nas całego wartościowego aktywu wojskowego. Na podstawie wielu doświadczeń mamy prawo z całym spokojem stwierdzić, że dopóki istnieje naród polski — nigdy nie zabraknie mu woli do walki o wolność i niepodległość i nigdy nie zabraknie mu ludzi, którzy do walki tej staną. Klęska Warszawy nie jest zakończeniem, lecz etapem naszych dążeń do zajęcia w świecie pozycji państwa prawdziwie suwerennego. Etapem bardzo bolesnym, lecz nie końcowym. "Wierzymy w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości nad złem" — to nie są moje słowa, to nie są nawet słowa nikogo z przewódców warszawskich, to są ostatnie słowa, które bezimienny telegrafista warszawski, ktoś nie z karmazynów, lecz z szaraków, przesłał do Londynu w momencie przerywania łączności, na parę godzin przed niewolą. Któż z nas owego nieznanego żołnierza pomówi o skłonność do frazesów i któż z nas nie dojrzy w jego słowach przekonania, pięknego jak życie i mocnego jak śmierć, wyniesionego z ognia Warszawy?

Wydawać by się mogło, że niewątpliwa wielkość obrony Warszawy położy kres owej kampanii kłamstw i oszczerstw, którymi od pewnego czasu obrzuca się naród polski. Bez wątpienia — Warszawa wstrząsnęła sumieniem świata, nie na każdej jednak długości geograficznej. Celem szczególnych ataków stała się osoba bohatera Warszawy Gen. Bora, ataków równie niskich, jak naiwnych. Któż uwierzy oświadczeniu, że Armia krajowa mogła się była przebić z Warszawy na Pragę, gdy Armia Czerwona nie zdołała się przeprawić z Pragi do Warszawy. Co sądzić o twierdzeniach wygłaszanych jednym tchem, że Gen. Bór nie nawiązał łączności z Rosjanami i że była dostateczna łączność, aby przygotować przeprawę na brzeg praski? Co powiedzieć o zarzucie, że Gen. Bora nie było w Warszawie, gdy tam właśnie Niemcy wzięli go do niewoli.

Osoba Gen. Bora stała się również przedmiotem niemieckich spekulacyj politycznych. Wróżąc mu wielką przyszłość, Niemcy ogłosili na całym świecie, że istnieje możliwość zmiany w stosunkach polsko-niemieckich i że wstępem do tego jest "wielkoduszność", okazana potraktowaniem obrońców Warszawy jako kombatantów. *W rzeczywistości możliwość taka nie istnieje.* Jest rzeczą niewątpliwie przykrą, że postępowanie władz rosyjskich na terytorium Polski, zajętym przez Armię Czerwoną, czy też n.p. brak uznania przez Rosję Armii Krajowej za kombatanta — dostarczyły propagandzie niemieckiej wiele materiału. Nie zmieni to jednak w niczym naszego stosunku do Niemców. Z Niemcami walczyliśmy, walczymy i walczyć będziemy aż do ich pogromu. Taka jest niezmienna linia polityczna narodu polskiego.

GENERAŁ BÓR

Wysunięcie Gen. Bora w tych naiwnych kombinacjach jest jeszcze jednym dowodem niezdolności Niemców do poznania naszej psychologii. Gen. Tadeusz Bór-Komorowski, jak nikt inny może, stał się żywym symbolem walki naszej przeciwko Niemcom. Gdzie indziej skreśliłem już jego sylwetkę, tutaj przeto ograniczam się do podania najbardziej zasadniczych rysów tej rycerskiej postaci. Nie należy on do ludzi, umiejących robić świetną karierę. Osobista skromność i niechęć do podkreślania swych zalet trzymały go raczej na uboczu w okresie, dzielącym dwie wojny światowe.

Doskonały kawalerzysta o niezwykłej odwadze osobistej — dowodził jako młody rotmistrz /ur. w r. 1895/ 12 pułkiem ułanów w sławnej bitwie pod Komarowem w dniu 31.VIII.1920 r. i walnie się przyczynił do zwycięstwa 1 dywizji jazdy. Po awansie na majora /1923/ w latach 1925-1926 jest komendantem szkoły podoficerskiej w Jaworowie, po czym w r. 1927 wraca do swego macierzystego 9 pułku ułanów, w którym sprawuje funkcje zastępcy i jednocześnie p.o. dowódcy pułku. W pułku tym awansuje na podpułkownika /1928/, obejmuje jego dowództwo /1932/, następnie awansuje na pułkownika /1933/. W r. 1936 rozstaje się ze swym pułkiem i obejmuje Komendę Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu, szkolącego oficerów zawodowych i rezerwy. Na stanowisku tym, dostępnym tylko dla ludzi wielkich zalet charakteru i umiejętności wojskowych zastaje go wybuch wojny w r. 1939.

W kampanii wrześniowej dowodzi brygadą kawalerii. Uniknąwszy szczęśliwie niewoli — od jesieni 1939 r. oddaje się konspiracyjnej pracy niepodległościowej, obejmując komendę Obszaru Krakowskiego Armii Krajowej. Na stanowisku tym /od maja 1940 r. jako generał brygady/ wykazuje nie tylko zdolności organizacyjne, ale i umiejętność współpracy ze stronnictwami politycznymi w Kraju, które zjednywa sobie swym taktem, rzeczowością i urokiem wielkiej osobistej prawości. W r. 1941 mianowany zostaje zastępcą Komendanta Głównego /Dowódcy/ Armii Krajowej, a jednocześnie Komendantem Obszaru Zachodniego, obejmującego okręgi poznański i pomorski. W tym charakterze przeprowadza dokładną inspekcję tego obszaru, co samo przez się w ówczesnych warunkach było wyczynem dużej miary, jeśli się zważy, że przy samym tylko przekraczaniu granicy między t.zw. Gen. Gub. a Ziemiami Zachodnimi w ręce policji niemieckiej wpadała więcej niż połowa przechodzących.

W połowie 1943 r. Gen. Bór, po aresztowaniu ówczesnego dowódcy Armii Krajowej, sam obejmuje jej dowództwo. Na ten okres przypada ostateczne zorganizowanie Armii Krajowej, wzmożona akcja dywersyjna i partyzancka, ustalenie dokładnych planów walki otwartej i przejście wreszcie do tej walki w ramach t.zw. planu Burzy w miarę przesuwania się na zachód frontu niemiecko-rosyjskiego. Bohaterskie powstanie w Warszawie, kierowane osobiście przez Gen. Bora /już jako gen. dywizji od marca 1944 r./ było przewidziane w tym właśnie planie.

Praca Gen. Bora nie ogranicza się jednak z konieczności do samych tylko funkcji wojskowych. Wielką jego zasługą jest ułożenie ścisłej współpracy pomiędzy Armią Krajową a czynnikami cywilnymi i politycznymi Polski Podziemnej, oraz przyczynienie się w dużej mierze do wielkiego dzieła Jedności Narodowej, którego od samego początku był gorącym orędownikiem. Umysłowi Gen. Bora obca jest wszelka krańcowość, mimo to jednak wyczuł on doskonale prąd radykalizmu społecznego nurtujący Kraj i domagał się od czynników politycznych szerokich reform społecznych, których zarysem stała się później Uchwała Rady Jedności Narodowej z 15.III.1944 r.

W pracy konspiracyjnej i w boju cechowały Gen. Bora spokój, systematyczność i dokładność. Obdarzony wielkimi zdolnościami dowódczymi — nie popadł w zarozumiałość, umiał dobrać sobie podwładnych i stworzyć ową szczególną atmosferę życzliwej wzajemnej współpracy, dzięki której dowódca zjednywa sobie sympatię i zaufanie swych podkomendnych, nie tracąc nic ze swego autorytetu. Wielkie cenienie godności ludzkiej wyrobiło w Gen. Borze przekonanie o potrzebie prawdziwie demokratycznego ustroju Polski, a na odcinku wojska wyraziło się w sympatii do pomysłów jego demokratyzacji. Jeszcze w czasie poprzedniej wojny ówczesny rotmistrz Komorowski posiadał opinię niezawodnego towarzysza kolegów i podwładnych. Opinii tej nie zawiódł Gen. Bór, gdy dzieląc los swych żołnierzy udał się wraz z nimi do niewoli. Byłoby rzeczą mylną sądzić, że kierowało nim tylko poczucie rycerskości, tak właściwe całej naszej tradycji wojskowej. Tkwiło w tym jeszcze coś więcej: oddaniem swej osoby Gen. Bór wyjednał dla swych żołnierzy i dla ludności stolicy możliwie najkorzystniejsze warunki. W chwili gdy szedł do niewoli — towarzyszyła mu nie wizja rycerskiego pióropusza, ale przekonanie o pełnym głębokiego dostojeństwa spełnieniu do końca swego obowiązku. Bohaterska epopea stolicy przeszła już do historii. Jakimżeż słowem, dostatecznie dumnym i potężnym, nadać jej miano? Znajduję tylko jedno: słowo — symbol, słowo — pomnik, słowo — hasło, słowo — odtąd zawołanie polskich żołnierzy, bojowników o wolność: W a r s z a w a.

ANDRZEJ POMIAN

Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych

Wódz Naczelny, gen. dyw. Tadeusz Komorowski, dzieląc los swoich żołnierzy Korpusu Warszawskiego jest w niewoli niemieckiej.

Jako dowódca Armii Krajowej i jako dowódca walczącej Warszawy gen. Komorowski wypełnił w najcięższych warunkach z nadludzką siłą ducha swój obowiązek żołnierski do ostatka.

Dziękuję mu za to w imieniu Rzeczypospolitej.

Wierzę, że niedaleki jest czas, który przywróci mu wolność i pozwoli mu stanąć na powierzonym mu stanowisku na waszym czele.

PREZYDENT R.P. WŁADYSŁAW RACZKIEWICZ

Z polecenia Prezydenta R.P. zarządzam z powodu upadku Warszawy z dniem dzisiejszym dwutygodniową żałobę w Siłach Zbrojnych.

Należy nałożyć krepę na chorągwie i sztandary, powstrzymać się od udziału w zabawach i innych rozrywkach publicznych.

We wszystkich oddziałach oraz na okrętach R.P. odprawić nabożeństwa żałobne za poległych w Warszawie.

2.X.1944r. *MINISTER OBRONY NARODOWEJ GEN. M. KUKIEL*

DOPEŁNIŁO SIĘ

Dopełniła się krwawa ofiara. Warszawa padła w sześćdziesiątym trzecim dniu walki. Czym była ta walka, wiemy wszyscy. Jak potężnym była przejawem woli narodu polskiego do wolnego i niepodległego istnienia. Jak wstrząsnęła świadomością i uczuciem narodów. Jak nawet przeciwnik poniewolnie stwierdzał niezrównane zacięte męstwo wojska naszego i ludności i uznał prawa kombatanckie powstańców. Znamy również cały ogrom poniesionej ofiary.

Nasz Wódz Naczelny, uosobienie poświęcenia, hartu ducha i głębokiego uczucia żołnierskiej powinności, cechujących Armię Krajową, jest w niewoli, dzieląc los swoich żołnierzy Korpusu Warszawskiego. Rozkaz dzienny Pana Prezydenta Rzeczypospolitej stwierdził, że generał Bór-Komorowski spełnił swą powinność żołnierską do ostatka.

Obrona Warszawy wypełniła tę powinność ponad miarę tego, co zwykło się uważać za granicę ludzkiej wytrwałości i ofiarnego męstwa. Odwieczne reguły wojny przewidują, że forteca może się poddać, o ile wyłom otwarty, amunicja lub żywność wyczerpana, próby przebicia się zawiodły, a nie ma widoków odsieczy. Warszawa nie była fortecą; była miastem otwartym, które w fortecę obróciło męstwo. Wyłomów w tym bohaterskim mieście dokonał już pierwszy z dziewięciu długich tygodni walk, przebijając poprzez miasto ogniem i żelazem szlaki komunikacyjne. W ciągu następnych tygodni rozszerzały się wyłomy na całe dzielnice, cała Warszawa szła w gruzy, w których walczono dalej do ostatka.

Warszawa nie miała uzbrojenia, amunicji ani żywności na dłuższą walkę; nie broniły jej armie, potężnie wyposażone w sprzęt, jak w słynnych obronach Sebastopola, Leningradu i Stalingradu. Broni starczyło zaledwie dla części zdolnych do walki. Już w trzecim dniu walki odczuwano brak amunicji. Pomoc otrzymywana z powietrza pozwoliła bronić się i trwać przez długie dwa miesiące, ale nie starczyło jej do przeciwnatarć w większym stylu. Warszawa padła wystrzelawszy ostatnie niemal naboje. Głód panował tam od początku. Cztery ostatnie tygodnie byli obrońcy bez chleba. W chwili upadku wydano ostatnie głodowe racje kaszy. Wody brakło już od kilku tygodni. Nie było czym gasić pożarów. Nie było w końcu wody do picia nawet dla rannych.

Próby przebicia pierścienia nieprzyjacielskiego, podejmowane zarówno na południe jak na północ od Warszawy, nie dały wyniku wobec ogromnej przewagi ogniowej przeciwnika. Odsiecz przez własne oddziały, skupione w Puszczy Kampinoskiej, natknęła się również na przeważające siły niemieckie. Odsiecz armii marsz. Rokossowskiego, które w siódmym tygodniu bitwy warszawskiej zdobyły Pragę, nie zdołała sforsować Wisły w obrębie stolicy, przerzucone przez rzekę bataliony nie zdołały się przebić do trzymanych przez Polaków części miasta, a 30 września radio z Moskwy przyniosło znane oświadczenie, że Warszawa wzięta być może tylko przez obejście, co czyniło już odsiecz kwestią nie dni, ale tygodni.

Przegląd tygodniowy

Nigdy miasto bronione więcej nie zniosło, więcej nie przetrwało. Nigdy nie dowiodła obrona więcej duchowej mocy.

ROLA STRATEGICZNA WARSZAWY

Rzut oka na mapę wskazuje, jaką rolę strategiczną gra Warszawa w sytuacji obecnej i jakie możliwości otwierało powstanie stolicy. Gdy w pierwszych dniach panowało ono nad całym prawie miastem i toczyło walkę o mosty, dawało możność siłom sowieckim, oddalonym zaledwie o kilkanaście kilometrów, zawładnięcia najdogodniejszymi przeprawami przez środkową Wisłę i stwarzało siłą rzeczy potężne przedmoście. Ciężką klęską było późniejsze odcięcie obrońców od rzeki. Przedmoście istniało już tylko potencjalnie; ale pokąd walczyły cztery wielkie ośrodki polskiego oporu na bezpośrednich tyłach Niemców, trzymających brzeg wiślany, stanowiły one dla nich duże zagrożenie, odbierały im swobodę działania i możność ugrupowania w głąb. Była to wielka okazja dla ofensywy sowieckiej do przełamania płytkiego pasa obronnego Niemców na lewym brzegu Wisły i do przekroczenia rzeki.

Jeśli słyszy się dziś z wiadomej strony, że obrońcy Warszawy powinni byli nawiązać łączność z armią rosyjską, czy do niej przez Wisłę się przebić, to jest to odwróceniem logiki wojennego działania. Z punktu widzenia wojskowego byli oni strażą przednią, która uchwyciła niezmiernie ważne obiekty terenowe i do upadłego ich broniła. Siłą główną były armie sowieckie. Oswobodzenie odciętej straży przedniej i wykorzystanie jej ofiarnego wysiłku jest rzeczą siły głównej.

Nie wchodzimy w to, jakie powody sprawiły, że to się nie powiodło. Ale w żadnym wypadku nie można ich się doszukiwać po stronie tych, którzy w Warszawie bili się i umierali.

Takim jest dziś zgodny pogląd całej niemal prasy wszystkich wolnych narodów.

BITWA O NIEMCY

Już i Niemcy sami nazywają bitwą o Niemcy ogół walk, toczących się dziś na Zachodzie. Walki te kulminują w potężnych natarciach 3-ciej armii amerykańskiej między Nancy i Metz, oraz 1-ej armii amerykańskiej pod Akwizgranem poprzez linię Zygfryda, już poważnie przełamaną na północ od tego miasta. Sam Akwizgran osaczony; walki toczą się już na ulicach. Obie armie marsz. Montgomery toczą dalej bitwę w Holandii, gdzie znowu 2-ga armia brytyjska, a w niej polskie oddziały spadochronowe, bije się u przepraw przez rz. Lek /prawe ramię dolnego Renu/, a Polacy i Brytyjczycy armii kanadyjskiej znowu nacierają na drogi odwrotu znacznych sił niemieckich w kierunku na Tilburg ku ujściu Renu. Dalej na lewo Kanadyjczycy oczyszczają teren na północ od Antwerpii i wyspę Walcheren u ujścia Skaldy, celem otwarcia ogromnego, nietkniętego prawie portu antwerpskiego.

Wszędzie odznacza się już w działaniach na ziemi narastająca przewaga Sprzymierzonych. W powietrzu jest to już przewaga druzgocząca, panowanie niemal bez sprzeciwu. Ogromne, nieustanne prawie naloty bombowe na tyły, komunikacje, urządzenia i ośrodki potencjału przeciwnika obywają się już bez poważnych strat własnych.

Coraz groźniej przedstawia się również sytuacja Niemiec na innych frontach, aczkolwiek walki wszędzie toczą się tam jeszcze poza granicami Rzeszy. We Włoszech toczy się jeszcze bitwa o wyjścia w dolinę Padu; sprzymierzeni czynią powolne postępy. Ale na Bałkanach dojrzewa szybko katastrofa związanych tam sił niemieckich. Belgrad i Nisz zagrożone przez wojska sowieckie. Partyzanci jugosłowiańscy i greccy niepokoją wszystkie linie komunikacyjne Niemców, jeszcze pozostałych na południe od Dunaju i Sawy. Na wyspach Egejskich i Jońskich, na Peloponezie, w Albanii, na wyspach Dalmatyjskich desanty brytyjskie z udziałem Greków i Jugosłowian. Utrata półwyspu Bałkańskiego przez Niemców jest przesądzona: zachodzi już tylko pytanie, ile im tam dywizyj przepadnie.

Ofensywa sowiecka z Rumunii na Węgry czyni poważne postępy poprzez nizinę węgierską w kierunku Budapesztu. Na tym szerokim, otwartym froncie, gdzie tylko rzeki stanowią przeszkody, walczyć muszą bardzo uszczuplone siły niemiecko-węgierskie, które nie zdołały poprzednio utrzymać wału Karpat i Alp Siedmiogrodzkich ani pogórza Siedmiogrodu. Wzięcie Budapesztu przesądzałoby o rychłym upadku Wiednia. W południowej Małopolsce rozwija się ofensywa sowiecka poprzez przełęcze karpackie na Słowaczyznę, grożąca wyjściem na tyły broniącego Węgier przeciwnika.

W Polsce środkowej nie było większych zmian. Odżyły przeciwnatarcia niemieckie nad Narwią. Rozwinęło się silne natarcie sowieckie od Szawel na Litwie na Kłajpedę. Na Łotwie zaciska się pierścień dokoła Rygi. Opór niemiecki na wyspach w Zatoce Ryskiej dogorywa. Brak danych, w jakim stopniu Niemcy zdołali wycofać dwie armie odcięte na Łotwie i w Estonii. Nie zdaje się, jak dotąd, by większe masy jeńców wpadły w ręce zwycięzców. W każdym jednak razie z zakończeniem tych operacyj zwolnione będą znaczne siły sowieckie do zapowiadanego od dwóch miesięcy uderzenia na Prusy Wschodnie.

Dojrzewa przeto sytuacja do ogólnego szturmu na "fortecę Niemiec". Wydaje się ona dziś zagrożona najsilniej z dwóch stron: od południowego wschodu z niziny naddunajskiej i od północnego zachodu znad dolnego Renu.

Bliska przyszłość odpowie, z której strony padnie cios stanowczy. Zarysowują się znowu możliwości niedalekich wielkich rozstrzygnięć.

Zamknięte 10-go października.

TRIARIUS

Z tygodnia na tydzień

2 *października: W Warszawie utarczki lokalne z Niemcami. Ewakuacja ludności cywilnej. O godz. 20 umilkły strzały w Warszawie.*

—Początek ofensywy amerykańskiej na terenie Niemiec, na płn. od Akwizgranu.

3 *października: Ogłoszono, że Warszawa padła po wyczerpaniu wszelkich środków do walki i życia, po 63 dniach walk.*

—Oddziały Dywizji Pancernej walczą w rejonie Baarle Nassau w Holandii, na płn. od Turnhout.

—Amerykanie zajęli m. Ubach w Niemczech, na płn. od Akwizgranu.

—Lotnictwo brytyjskie bombardowało w nocy z 2/3 wyspę Walcheren u ujścia Skaldy i Kanał Emski. Zrzucono 12 ton bomb.

4 *października: Oddziały Dywizji Pancernej zajęły m. Baarle Nassau i Baarle Hertzog w Holandii.*

—Ogłoszono, że polskie oddziały spadochronowe walczą dalej w Holandii.

—Ogłoszono o walkach Armii Krajowej na obszarze radomsko-kieleckim.

—Oddziały polskie w Warszawie zmuszone były złożyć broń i dostały się do niewoli niemieckiej.

—Podniesiona została bandera polska na O.R.P. "Conrad", krążowniku oddanym przez marynarkę brytyjską Polskiej Marynarce Wojennej.

5 *października: Oddziały Dywizji Pancernej posuwają się naprzód w Holandii w kierunku na m. Breda.*

—Oddziały brytyjskie lądowały w Grecji. Zajęto Patras na Peloponezie.

—Ogłoszono, że Naczelny Wódz i dowódca Armii Krajowej gen. Bór Komorowski dzieląc losy żołnierzy Korpusu Warszawskiego jest w niewoli niemieckiej.

—Premier Churchill złożył w Izbie Gmin. hołd Warszawie.

6 *października: Amerykanie dotarli do skraju m. Geilenkirchen, na płn. od Akwizgranu.*

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało bardzo silnie za dnia Berlin i Hamburg. W działaniach tych brało udział 1.250 bombowców i 1.000 myśliwców.

—Ogłoszono listę ostatnich odznaczeń w Polskiej Marynarce Wojennej. Krzyżem Virtuti Militari odznaczony został m.in. dowódca O.R.P. "Krakowiak" za działalność bojową na Morzu Egejskim.

7 *października: Podano szczegóły działalności Armii Krajowej na obszarze między Radomiem a Piotrkowem w drugiej połowie września br.*

—Za dnia lotnictwo Sprzymierzonych dokonało największego dotąd nalotu na Niemcy w czasie obecnej wojny. W nalocie tym brało udział 3.000 bombowców i 1.500 myśliwców z baz brytyjskich, francuskich i włoskich.

—Ogłoszono w Moskwie o rozpoczęciu nowej ofensywy sowieckiej na zachód od Szawli, na Litwie.

Nowości lotnicze

Lądowanie alianckiej armii powietrznej w Holandji, było jednym dowodem więcej, że *Luftwaffe* jest w tej chwili bezsilna i nie jest w stanie wystąpić zaczepnie. W każdym razie, mimo znakomitych warunków atmosferycznych i taktycznych, nie zdołała zapobiec, by liczna flota szybowców i wielkie zespoły spadochroniarzy wylądowały na jednym z najbardziej niebezpiecznych terenów operacyjnych i to w jasny dzień. To lądowanie wytworzyło zupełnie nową sytuację bojową i zagroziło linii Zygfryda od północy. Gdyby ta bitwa była rozstrzygnięta pomyślnie, dałaby decydujące zwycięstwo, otwierając drogę do serca Niemiec. Wypadki jednak potoczyły się inaczej. Bitwę można oceniać jako zakończoną z powodzeniem, jednakże nie przybrała ona decydującego charakteru.

Luftwaffe nie ruszyła swych maszyn w chwili, gdy powinna była zrobić wszystko, by niebezpieczeństwo zaflankowania systemu swej obrony—jeżeli nie usunąć, to w każdym razie za wszelką cenę osłabić. Mimo silnej osłony myśliwskiej, transportowce i szybowce stanowić mogły łatwy łup dla zdecydowanych dywizjonów. Z natury rzeczy powietrzna flota desantowa jest bezbronna. Nawet niewielki opór ze strony myśliwców niemieckich narobiłby Sprzymierzonym wiele kłopotu. Lecz w konkretnym wypadku nawet obrona ziemna nie odegrała poważniejszej roli. Wobec zupełnego braku osłony z powietrza, próby interwencji artylerii przeciwlotniczej zostały zduszone w zarodku. Artyleria umilkła, a lądowania odbyły się w porządku bez wielkich strat w swej pierwszej, najniebezpieczniejszej fazie.

Brak reakcji ze strony *Luftwaffe* przypisać należy nie tylko ogólnej sytuacji wewnętrznej i niezaprzeczalnemu faktowi, że na niemieckie lotnictwo spłynęło więcej zadań, niż je wykonać może, nie tylko temu, że kryzys frontowy przyłapał je w chwili przezbrajania się i reorganizacji—lecz bezpośrednio temu, że wielkie bitwy, które miały miejsce na krótko przed samym dniem lądowania, naruszyły rezerwę centralną, eliminując przeszło 500 maszyn "*Luftflotte Reich*".

Dalszy ciąg bitwy w Holandii odbywał się właściwie bez lotnictwa niemieckiego. Nie można nazwać interwencją pojawiania się grupek myśliwskich w maksymalnej sile trzydziestu czy czterdziestu maszyn. Większe siły pojawiły się dopiero w ostatniej fazie, gdy nie mogły zmienić charakteru, czy wyników bitwy. Chwilowy sukces niemiecki i przerwanie korytarza między Arnhem a II Armią stał się możliwy wobec niepogody, która nie pozwoliła na rozpoznanie i działanie alianckiego lotnictwa. Z tego wniosek, że siły niemieckie mogą tylko wtedy walczyć skutecznie, gdy nie działa lotnictwo nieprzyjaciela. W tym wypadku dalszy bieg rzeczy potwierdził regułę: z chwilą gdy poprawiła się pogoda nad dolnym Renem, natychmiast sytuacja uległa gwałtownej zmianie. Połączenie wojsk wysuniętych z bazą zostało przywrócone, niemieckie zgrupowania pancerne rozbite przez uderzenie myśliwców rakietowych, a korytarz nie tylko został przez Aliantów utrzymany, lecz nawet rozszerzony.

Przebieg operacji w Holandii nie stanowi dla Niemców dobrego prognostyku na przyszłość.

Dziwnie też wygląda zestawienie faktów ostatniej kampanii w Europie zachodniej, z niedawnym raportem niemieckiej oficjalnej agencji telegraficznej, która oświadcza, że "należy podkreślić olbrzymią poprawę w *Luftwaffe*, szczególnie zaś wzmocnienie jej siły defensywnej. W pierwszym rzędzie objawia się to w jakości i ilości sprzętu dla myśliwców dziennych i nocnych. Do pierwszej linii zostały już wprowadzone nowe typy myśliwców /*Blitzjäger*/, które dysponują potężną siłą ogniową".

Równocześnie ta agencja podaje, że niemieccy piloci i artyleria przeciwlotnicza w pierwszych ośmiu miesiącach 1944 roku zdołały zniszczyć 11,967 samolotów brytyjskich i amerykańskich oraz 13,000 rosyjskich.

"*Luftwaffe* wierzy i wie, że przyjdzie jeszcze dzień, w którym odzyska ona swe dawne miejsce w powietrzu, mimo obecnej przewagi brytyjskich i amerykańskich flot powietrznych" — oświadczył Karl Zepellin, wnuk wielkiego Zepellina, obecnie zaś oficjalny korespondent wojenny.

"Jeszcze nie można powiedzieć publicznie wszystkiego — mówi dalej —ani też udokumentować podstaw nadziei, iż przewaga nieprzyjaciół zostanie złamana. Jednak nadzieje te budowane są na trwałych podstawach. Stoimy przed nowym rozwojem nieznanych dotychczas wynalazków technicznych, których użycie zmieni całkowicie bieg rozwoju lotnictwa. *Luftwaffe* będzie już miała niebawem możność pokazania światu zupełnie nowych, niezwykłych samolotów. Da nam to przewagę, której nieprzyjaciel nie prędko dorówna. Niemcy potrzebują samolotu myśliwskiego, który by przewyższał swymi bojowymi własnościami wszystko dotychczas spotykane. Niemcy go będą mieli. Podobna broń pojawi się na froncie już w bardzo krótkim czasie".

Zachodzi pytanie, co Karl Zepellin nazywa "krótkim czasem"? Dwa tygodnie, czy też dziesięć miesięcy? Optymistyczna ocena sytuacji *Luftwaffe*, wypowiedziana przez Zepellina, jest poniekąd ugruntowana na wynalezieniu przez Niemców szeregu typów samolotów o napędzie propulsyjnym, które przemysł niemiecki zaprojektował, przeprowadził przez próby i w tej chwili produkuje. Jednak między wykończeniem masowej produkcji jakiegoś sprzętu, a jego masowym zastosowaniem w wojnie, stoi zagadnienie personelu. Już dziś śmiało możemy postawić tezę, że sztab niemiecki nie liczył się z tak szybkim rozwojem wypadków. Dopuszczał wprawdzie możliwość wylądowania, a nawet utrzymania się nieprzyjaciela na pewnych odcinkach Francji, lecz według zdania jego ekspertów, nawet przy tak olbrzymiej przewadze materiałowej Aliantów, zajmowanie Francji powinno trwać conajmniej parę długich miesięcy. W każdym razie przed zimą nie powinno być zakończone. Tak wynika z przychwyconych przez Aliantów rozkazów niemieckiego A.O.K.

Gdy rozpoczęła się inwazja Normandii, *Luftwaffe* rozpoczęła właśnie reorganizację i przeszkolenie swoich jednostek. Niektóre były wycofywane na tyły nawet w czasie walk. Sądząc z liczby istniejących nowych propulsyjnych samolotów niemieckich, ich produkcja seryjna jest jeszcze w stanie początkowym. Pierwsze serje wychodzące z fabryk były przeznaczone nie tyle do boju, ile do przeszkalania personelu, oraz do tych praktycznych eksperymentów, do jakich nadawał się powietrzny front wewnętrzny.

Niewątpliwie cała tabela czasu uległa zmianie na niekorzyść Niemców. Myśliwcy, personel i samoloty są im potrzebne w wielkiej liczbie teraz, nawet natychmiast. Tymczasem zarysowuje się katastrofalny brak personelu, a fabryki ograniczyły produkcję starych typów samolotów, prawie wszędzie przechodząc na produkcję nowych. Z grubsza w pracy produkcyjnej znajduje się w tej chwili około 50 nowych, oraz ze sto zasadniczych odmian znanych już typów. Najnowszych typów samolotów o napędzie propulsyjnym a więc — czy to rakietowym, czy też termiczno strumieniowym, jest w produkcji około siedem. Wszystkie są szybkie, dobrze uzbrojone, wszystkie jednak, nie wyłączając sławnych już dzisiaj Me 162 czy 262, nie są jeszcze ostatnim słowem. I wiele wody upłynie, nim się tym słowem staną.

Rzeczywistość wygląda w ten sposób, że Niemcy są zagrożone inwazją, jednostki zaś ich nie mają samolotów i nie mają załóg, natomiast wytwórnie nie są w stanie dostarczyć czego potrzeba. Równocześnie zaś zbliża się siedmiomilowymi krokami wielki kryzys paliwowy. W tej dziedzinie Niemcy, mając te same potrzeby, dysponują tylko 25% produkcji sprzed sześciu miesięcy.

Pragnęliśmy zawsze naszym Czytelnikom przedstawiać sprawy lotnicze w świetle prawdy, wystrzegając się wszelkiego optymizmu. Dziś możemy bez narażenia się na posądzenie o zbytni optymizm, stwierdzić, że *Luftwaffe* stoi na złych nogach.

Nowe bronie niemieckie, a więc rozmaite "V" są groźne, niektóre z nich szczególnie mordercze. Jednak i tutaj stoimy wobec tego samego zjawiska: nie wyłączając "V.1.", czy owego tak reklamowanego "V.2", są to bronie w początkowym stadium rozwoju. Lotnictwa nie zastąpią. Nie mają wpływu na rozwój sytuacji na frontach, przynajmniej dotychczas.

Podobno niedaleko Belfort, Niemcy zastosowali "V.1" jako broń przeciw wojskom w polu. Niewątpliwie niektóre "V" mogłyby być zastosowane w bitwie z większym lub mniejszym powodzeniem, niektóre nawet — z wielkim. Lecz na to wszystko czasu potrzeba. W rozwoju wynalazków technicznych nie ma cudów i podobnie jak człowiek potrzebuje do swego rozwoju conajmniej lat dwadzieścia, tak i wynalazek techniczny dopiero po szeregu lat uzyskuje dojrzałość.

Naturalnie ani pocisk rakietowy, ani samolot propulsyjny nie jest rzeczą nową. N.p. pierwszy projekt samolotu rakietowego urodził się w głowie majora Fiali, sławnego asa z czasów ostatniej wojny światowej. Z tym projektem, już jako ekspert lotniczy Junkersa, zwrócił się on do jednego z wiedeńskich konstruktorów. Warunki były następujące: a/ silnik rakietowy ma być silnikiem pomocniczym, który odrzuca się po osiągnięciu pewnej wysokości, b) pracując, powinien zapewnić samolotowi szybkość wznoszenia równą szybkości w poziomym locie.

Od tej chwili datują się eksperymenty z samolotem rakietowym, które rozpoczął i prowadził prof. Junkers, dopóki naziści nie odebrali mu fabryki. Potem główne eksperymenty zostały przeniesione do Messerschmitta. W tej chwili ośrodkami eksperymentalnymi i głównymi wytwórniami wszystkich samolotów i "V" są zakłady Junkers, Dornier, Hentschell. Jeżeli zaś chodzi o pociski rakietowe, to pierwsze prace nad nimi rozpoczęto w laboratoriach niemieckich około 1922 roku z wynikami rozmaitymi. W każdym razie teoria pocisku rakietowego została opracowana i opublikowana przez jednego z inżynierów niemieckich koło 1930 r. w formie prawie doskonałej. Niestety, nie posiadamy tutaj potrzebnych nazwisk, dat i szczegółów.

Jak widzimy, od chwili powstania teorii i pierwszych prób: zarówno rakiety, jak i samolotu propulsyjnego, upłynęło lat dwadzieścia pięć.

Znamy jedną stronę medalu: postępy techniki niemieckiej na tym polu. Nie mamy jednak żadnych bliższych szczegółów o pracach brytyjskich i amerykańskich na polu lotnictwa. Niemcy językiem hr. Zepellina głoszą: "tak pchniemy lotnictwo naprzód, iż nieprzyjaciele nasi nie będą w stanie nadążyć". Niewiadomo czy już nie nadążyli?

M. J. GORDON

Oblężenie Warszawy w 1939 roku

Nigdy bym nie był dotarł w porę na oblężenie Warszawy, gdyby nie spotkanie dywizji gen. C. na rozstaju dróg w środku Kampinosu. Niepoznanego, zaginionego w fali bezimiennych uchodźców piechura wyłowili znajomi oficerowie. Przykazali, jako dziennikarzowi, być przez kilka chociaż godzin świadkiem ich bezsilnego szamotania się z naporem piorunująco zmieniających się zdarzeń.

Wieczór i noc w leśniczówce u progu puszczy zetknęły mnie z kłopotami dowódcy i sztabu polskiej dywizji w 1939 roku. Dywizja, a był to 11 września, po raz pierwszy od chwili wybuchu wojny znalazła się w miejscowości, w której pozostała policja, w której komendant posterunku policyjnego rozdzielał żołnierzom kwatery a komitet obywatelski, z miejscowym proboszczem na czele, ciepłą, c i e p ł ą strawę i świeżo pieczony, nie spleśniały chleb. Gospodarze leśniczówki gościli sztab kolacją, chłodnym zsiadłym mlekiem, owocami. Martwili się, że jeden z oficerów nie będzie miał łóżka, tylko siennik na ziemi, i że pan dziennikarz prześpi się pod oknem tylko na kożuchu gajowego.

Jakby na manewrach, gdyby nie głęboka troska na twarzy generała, i opowiadanie jego szefa sztabu o cofaniu się na pozycje, z góry wyznaczone, na których nie zastano przyrzeczonej pomocy i dalszych rozkazów; gdyby nie wpadający co chwilę dowódcy pułków i adiutanci, raportujący o topnieniu stanu jednostek do dziesiętnych, donoszący o wyczerpaniu wojska, ledwo wlokącego nogami, skarżący się na brak łączności, klnących odległe, naczelne dowództwo.

Pamiętacie nasze przedwojenne defilady? Nie dawały prawdziwego obrazu naszego wojska. W piachu leśnych dróg, wśród wyniosłych sosen i żebraczo w las wtulonych brzóz oglądałem rozwinięty szyk jednej z naszych dywizyj. Postrzępiona, od kurzu zszarzała, zmęczeniem przygarbiona garstka. Słońce otulało ją bardzo troskliwie ciepłą aureolą promieni. Jakieś ocalałe działo z artylerii dywizyjnej, parę połamanych samochodów ciężarowych, zziajane konie. I mundury zdarte, dziury w butach. Twarzy spod brudu trudno dociec. Tylko jarzące ogniem oczy. One jedne przypominały przedwojenne defilady. One jedne tłumaczą dlaczego generał Thomme z taką armią, tak długo potem jeszcze bronił Modlina. Obrony Modlina od bohaterskiej walki stolicy odłączać nie należy.

Oddziały nie wypalały gromkiem: "czołem panie generale," gdy "łazik" dowódcy przesuwał się po skraju drogi, w takiej ciszy, że słychać było tylko szum lasu i stęk motoru. Od szeregów, co chwilę odrywał się jakiś oficer i coś spokojnie raportował, po czym znowu ginął w żołnierskiej masie. Generał często schodził i coś tłumaczył swym ludziom, czymś pocieszał. Dlatego nie rozumiem zapamiętania, z jakim potem niektórzy próbowali układać dwie historie września, jedną żołnierską, drugą oficerską.

Z generałem, na "łaziku," dotarłem do pustej szosy Modlin-Warszawa. Wybuch pociągu amunicyjnego, eksplodującego od bomby, zwalił mnie do rowu pod Nowym Dworem. Przygodnie spotkany motocykl wojskowy dowiózł do Warszawy. U wylotu ulicy Zakroczymskiej zapytałem żandarma wojskowego o najkrótszą drogę do Prezydium Rady Ministrów.

—Poco? —zapytał zdziwiony.

—Chcę zgłosić się w Wydziale Prasowym —odpowiedziałem.

—Panie, rządu ani ministerstw nie ma już pośród nas —dorzucił.

Na przedpolu stolicy mało kto o tym wiedział. Jeszcze w czasie oblężenia Warszawy można było spotkać ludzi, którzy w to nie chcieli wierzyć. Gdy miastu zabrakło wody, gdy przed podwórzową pompą trzeba było ustawiać się z wiadrami w długi "ogonek," wychodzący poprzez gruzy bramy na ulicę, taki czy inny mądrala opowiadał o Prezydencie, który chodzi od okna do okna Zamku i patrzy przez szyby na ochotnicze oddziały, ciągnące bronić Pragi, na ludzi usuwających rumowiska z ulicy, na saperów łatających dziury w moście. Nie chciano wierzyć, aby Warszawa była tak bardzo sama. W tym przejawiała się nauka dwudziestu lat niepodległego państwa, że społeczeństwo jest hierarchicznie zbudowanym organizmem, jest piramidą, którą odcięcie szczytu kaleczy, zupełnie niezależnie od tego, na jakich zasadach architektonicznych tę piramidę budowano.

Osobiste bohaterstwo, pogarda śmierci, znakomity zmysł organizacyjny i talent oddziaływania na zbiorowość wyniosły na szczyt hierarchii Stefana Starzyńskiego. Chociaż on był w Warszawie, desperacko broniącej Niemcom wdarcia się do jej serca, to jednak żołnierz w podmiejskich okopach ciągle czepiał się legendy o Naczelnym Wodzu. Gdy o zmroku 26 września, na Polu Mokotowskim lądował samolot z Bukaresztu, wśród żołnierzy rozeszła się wieść, że wrócił i jest z nimi marszałek Rydz-Śmigły. Przyszły tylko ostatnie od niego rozkazy. Rozwiały się wszystkie nadzieje.

Warszawę znałem, jak każdy człowiek z prowincji, którego interesy zmuszały do jeżdżenia do stolicy. Znałem kawiarnie z eleganckimi kobietami, teatry ze znakomitymi artystami, urzędy z biurokratycznie ślamazarnymi radcami, kandydatów na ministrów, dorożkarza, piorunującego na zbyt mały napiwek. Aleje, Nowy Świat, Marszałkowską, Stare Miasto. Bywałem na wódce u "kupca" na Miodowej, wałęsałem się po bufecie sejmowym, gdzie stale przesiadywał Klub Sprawozdawców Parlamentarnych. Oblężenie Warszawy odsłoniło jej inne oblicze. Lud warszawski. Lud —takie banalne wyrażenie, ile jednak treści tkwi w pojęciu: lud warszawski.

Mali chłopcy — ci, którzy nagabywali gazetami i okrzykiem "panie prezesie" — przekradali się po kilka razy dziennie przez front i przynosili meldunki. Każdy z nich chował po kieszeniach jakieś przepustki polskie i niemieckie; każdy, jeżeli nie miał, to uważał, że ma do spełnienia jakąś misję patriotyczną.

Kobiety, które wystawały godzinami, mimo huraganowego ognia artylerii niemieckiej w ogonkach za chlebem czy za wodą, nie skarżyły się na swój los. Odłamki granatów wyłuskiwały po jednej, po dwie z ogonka. Ogonek się kurczył. — "Moja pani, biedna ona, mąż na wojnie, małe dzieci". Rosło tylko napięcie nienawiści do Niemców i wzrastała wola oporu.

Mężczyźni spełniali swe obowiązki przy wodociągach, w elektrowni,w warsztatach, sprzątali potłuczone szkło, gasili pożary, poprawiali barykady, pchali się na ochotnika do robotniczych batalionów. Słyszałem nieraz ich gawędy. — "Będziemy wieszać, jeżeli poddadzą Warszawę!"

Narzekania, że obrona nie ma sensu, że Starzyński oszalał, że szkoda ludzi i szkoda murów— były bardzo, bardzo rzadkie. Jeżeli zaś padały z czyichś ust, to na pewno wygłaszał tę opinię ktoś, przewrażliwiony wrażliwością inteligenta.

Militarna obrona Warszawy, jakże trudna wobec zlepku oddziałów, które mieli do rozporządzenia gen. Rómmel i gen. Czuma, wobec braku nie tylko wyposażenia oraz amunicji, ale i środków opatrunkowych, stała się możliwa tylko dzięki duchowi mieszkańców miasta. Równemu tak na Nalewkach, jak i na Czerniakowie. I dlatego nieraz myślałem, że na jednym z placów odbudowanej Warszawy trzeba będzie postawić pomnik—Nieznanemu Mieszkańcowi Stolicy, za jego bohaterstwo w 1939 roku.

A były chwile ciężkie do zniesienia. Najpierw ciągła groza głodu. Nad aprowizacją czuwał nie tylko zarząd miasta, który pracował przez cały czas oblężenia, bez przerwy, normalnie, ale i osobny wydział aprowizacyjny, kierowany przez kilku oficerów rezerwy z Wielkopolski. O ile się tylko dało, co noc wyruszała wyprawa cywilno-wojskowa na dalekie przedpola Warszawy, nieraz głęboko na tyły wojsk niemieckich, aby przed świtem przywieźć jakąś mąkę, parę świń czy bydła do uboju, często trochę mleka. Rotmistrz S. z Poznania stał na czele tej akcji, mającej wszelkie cechy roboty przemytniczej. Mało te starania pomagały. Utykał transport po mieście. W końcu nie było co transportować. Ludność czyhała na padlinę, aby ostrym kozikiem wyciąć sobie przetrzymanie jeszcze jednej doby. Resztkami koni, pozostawianymi przez ludzi, żyły psy. Trudno mi zapomnieć zgraję dużych i małych, ale równie głodnych psów, goniącą chudego wyżła z okrwawioną ludzką ręką w pysku.

Co chwilę waliły się mury. Co chwilę pękał granat. Co parę godzin wracały samoloty niemieckie i zamieniały bloki kamienic w sterczące ku niebu kikuty. Wreszcie zabrakło wody i miasto zaczęło płonąć.

Ludzie próbowali wynosić dobytek na ulicę, zawalały go ruiny sąsiedniego domu. Ludzie próbowali uciekać z alei dwuszeregu płonących budynków, aby stanąć u wylotu ulicy, zagrodzonej kupami cegieł i wyrw. Nie ma przejścia. Wracać. Gnali wtedy w podwórza, rozbijali płoty, aby dostać się na teren kamienic przy drugiej ulicy. Byle uciec od duszącego dymu i padających żagwi. Wielu, bardzo wielu się to nie udawało. Nie było komu gasić żywych pochodni. Ci, którzy uchodzili z tego piekła znowu powtarzali: — "Będziemy wieszać, jeżeli poddadzą Warszawę."

Były godziny w nocy, gdy miasto, jak ciężko chory w wielkim bólu, niemiało. Mimo gwizdu pocisków nad głową szło się Marszałkowską, Złotą, Bracką, Mokotowską, słysząc tylko stuk własnych kroków, trzaski ognia trawiącego mijane kamienice, cichą rozmowę patrolu Straży Obywatelskiej, który przystanął w którejś z ocalałych bram. Poza tym spokój.

Szary człowiek warszawskiej ulicy nie umiałby wytłumaczyć w jaki ostatecznie wierzy cud końca tego oporu. Przewódcy obrony Warszawy, więc i wojskowi dowódcy i cywilna administracja miasta i dziennikarze i kierownicy stronnictw kierowali się różnymi przypuszczeniami co do możliwości ratunku. Pomocy z zachodu, jakiejś ofensywy po nadejściu do Warszawy armii gen. Kutrzeby z pod Kutna, przebicia się, gdzie? Długi czas liczono na pomoc wojsk polskich, zepchniętych na południowy wschód. Ale, właściwie, i oni też nie byli w stanie uzasadnić tych spekulacji. Co wiedzieli, to na pewno to, że trzeba jak najdłużej opierać się Niemcom, aby historia nie mieściła kampanii polsko-niemieckiej tylko w ramy kilkunastu dni. Więc idea heroiczna.

Ulotki niemieckie trafiały w próżnię. Śmiechem odpowiadała warszawska ulica na groźbę użycia gazu. Widziałem robotnika, który spoliczkował przechodnia, starannie chowającego ulotkę do kieszeni. Trzeba było je drzeć, a jeszcze lepiej z fasonem na nie splunąć. Niemcy tyle studiów i katedr na wyższych uczelniach poświęcili psychologii wojny, a tak naiwnie, ordynarnie, chamsko, zbrodniczo podeszli do Polaków i Europy.

W sobotę, 23 września przedpołudniem, w gmachu Teatru Wielkiego, odbyło się zebranie prasowe, na które obok redaktorów pism i dziennikarzy z radiostacji Warszawa II, przybyli członkowie Komitetu Obywatelskiego stolicy, później zakładnicy. Między innymi był książę Zdzisław Lubomirski i Mieczysław Niedziałkowski. Pierwszy, jakby przygarbiony troską i przeczuciem zbliżającego się końca, drugi wyprostowany, bardzo blady, ale promieniejący ciągle energią.

Starzyński wprowadził gen. T. jako reprezentanta wojska. Zobrazował on militarne położenie miasta. Nikt nie spodziewał się takiej oceny. Generał zapowiadał posunięcia ofensywne. Karcił małoduszność. Kazał wierzyć. Potępiał pesymizm. W trakcie jego przemówienia artyleria niemiecka wstrzelała się w Ratusz. Przez dziurawe okno wpadł odłamek żelaza i wylądował na zielonym suknie w środku stołu konferencyjnego. Lubomirski, stańczykowski realista, odezwał się: —"Jest trochę inaczej, panie generale."

Tego dnia stanęła elektrownia. Skończyły się telefony. W barze Hotelu Europejskiego, który bez przerwy, nawet przy świeczkach, wydawał zupę i czasami uszczknął kieliszek, znany dziennikarz przekonywał kolegów z Gdańska i Pomorza, że jeszcze wszystko będzie dobrze. Cóż mogło złamać ten optymizm?

Tego dnia widziałem żołnierzy z armii Kutrzeby. Resztki tego, co przebiło się znad Bzury. Pokotem walili się z nóg do snu po bramach, klatkach schodowych, pozostałościach mieszkań. Warszawa przygarnęła ich na chwilę odpoczynku. Oni oddawali jej resztę zapasów, które uratowali w odwrocie spod Kutna. Cała Chmielna i Widok karmiły się do końca oblężenia kuchnią polową jednego z wielkopolskich pułków piechoty. Major, dowodzący resztkami 15 pułku ułanów poznańskich, prosił, abym przez radio apelował do społeczeństwa o dostarczenie mu koni, żywych koni, dla uzupełnienia braków w szczątkach oddziałów. Ściskał mi mocno rękę. Przekonywał tym samym wyrazem oczu, jaki promieniał z pyłu drogi w środku Kampinoskiej Puszczy, kędy rozbitki dywizji piechoty szły wesprzeć obronę Modlina.

Warszawa ofensywy nie poprowadziła. Majorowi konie stały się niepotrzebne. Nadszedł najtragiczniejszy dzień pierwszej bitwy o Warszawę. W południe 27 września, było to w środę, nad ruinami, zniszczeniem, ciągle płonącymi ogniami zaległa cisza. Miasto, jakby wstrzymało oddech w oczekiwaniu. Niemcy odstępują od miasta? Chyba nie poddadzą stolicy? Przecież jeszcze można walczyć, choćby nożami i ukropem. Może tylko zawieszenie broni dla grzebania trupów? Nie —kapitulacja. Każdy z mieszkańców Warszawy odczuł to najgłębiej. Ten dzień przeżyć było najciężej. Było kilka wypadków samobójstw. Ale już i myśl o oporze podziemnym, chowanie broni po piwnicach, przygotowywanie ucieczki na Zachód. Na razie jednak paranie się z rzeczywistością. Żołnierze szukali ubrań cywilnych, aby uciec przed niewolą. Lud warszawski szukał dachu nad głową.

Otwarty samochód prezydenta miasta jeszcze raz pokazał się na mieście. Starzyński był tym razem po cywilnemu. Przez cały czas oblężenia chudł i żółkł. Teraz jechał blady jak papier, jakby ostatnia krew wyciekła z twarzy. Zmęczenie, rozpacz? A może przeczucie tego, co mu gotowali Niemcy w obozie koncentracyjnym.

JÓZEF WINIEWICZ

BARYKADA

Noc. Okręt rytmicznie się kołysze
I na gładkiej wodzie kreśli zygzaki.
Fale skrzydlate jak spłoszone ptaki
Uciekają gdzieś — i giną.
Wtem słyszę:
Lewo dwadzieścia nieprzyjaciel, —
Niemcy!
Lewo na burt!
Okręt się kładzie —
Nieprzyjaciel przed dziobem.
Kąt kursowy, a potem — ognia!
Więcej, strzelać więcej!
Bo tam . . . widzisz? . . . o tam.
— Gdzie? tam przed dziobem? — To nie ścigacze,
To czołgi idą na barykady.
To działa, moździerze, to ognia miotacze
Idą i idą, a przed nimi — stój! nie strzelaj! . . .
Szaniec żywy: — kobiety i dzieci w łachmanach.
Otrzyj łzy, spokojnie patrz i pamiętaj
To widmo maskarady.
W pocisków świetlnych, w rakiet fontannach,
Płonie niebo i płynie Kolumna Zygmunta —
To Warszawa płonie.

Jak pochodnia wolności, tu, pod obcym niebem
W mym zranionym łonie,
Warszawa płonie.

A na barykadach, chłopcy z Powiśla i z Woli,
Bezimienni rycerze, z ognia kurzawy
Wiją śmiertelne wrogowi wieńce
I wolność: Wolność dla Warszawy!
Bracie mój, celuj wyżej, prosto w czołgi
I módl się: Niech będzie przeklęty
Ten, który tyranię i krwawe czci bogi!
Za krew umęczonych, każdy pocisk twój
Będzie święty.
— Cicho, jak upiór płynie nasz okręt,
Barykada ze stali, z ognia i z serc,
A nad okrętem płynie Kolumna Zygmunta.
Głowa marynarza płonie,
Nagle wybuch — dostał! ścigacz tonie!
Nie — to czołg roztrzaskany pada.
Gorący karabin mocniej cisną dłonie,
Patrz — biegną dzieci i kobiet gromada,
Ocaleni, płaczą. Tu już dom i wolność:
BARYKADA — BARYKADA.

— Tak Cię co noc widzę w Angielskim Kanale
Miasto radości i cierpienia,
Miasto bez domów i bez bruku,
Dumne i samotne w walki zapale.
Ciebie przemoc nie złamie i śmierć nie zwycięży —
Bo jesteś z płomienia.
I tak co noc twe puste przemierzam ulice,
Gdzie na grobach milczące spoczywają cienie
I wszystko co jest walką Twoim chrzczę imieniem.
W królestwie cierpień tylko znam jedną Stolicę.

O.R.P. "Krakowiak" 16 sierpnia 1944 r.

TOMASZ APPEL

Z frontu zachodniego

Wyprawa do wyrzutni "bomb latających"

Francja we wrześniu

Dzień ten zaczął się pod specjalnymi auspicjami. O 6-ej rano, gdy dopiero zacząłem wyplątywać się z pomiędzy koców, kierownicy, drążków i lewarków szoferki opancerzonego samochodu, gdzie spędziłem noc — doszedł mnie cichy na razie, lecz stopniowo coraz wyraźniejszy huk. Powiało raptem Londynem, łóżkiem, łazienką, jedzeniem na siedząco, a spaniem na leżąco. "Bomba latająca"! Stary dobry znajomy z poranną wizytą!

Huk narastał, pancerne drzwiczki poczęły dygotać zgodnie z nim i dzwonić przeraźliwie, a ów ślepograt szedł jak zwykle "wprost na mnie", przepisowo wstrzymał swój motor "nad moją głową" i huknął gdzieś w polu, "bardzo blisko". Z drzewa spadło jabłko, uderzyło o pancerz samochodu; pomiędzy czołgami ukrytymi wśród drzew rozpoczął się ruch, a nawet służbowy się obudził i począł gorliwie wrzeszczeć przemierzając szybkimi krokami i przemoczonymi butami owocowe sady: "Pobudka! pobudka!"

Jak się okazało nietylko ja byłem wzruszony tą poranną wizytą, temat ten stał się ważniejszy nawet od zmartwienia poprzedniego wieczora, że nieprzyjaciel wywiewa zbyt szybko, aby go można było dogonić, i że wozy pozostawione przez niego są albo spalone, albo już splądrowane przez ludność i z tego powodu nie można zdobyć tak bogatych łupów w postaci koniaku, Benedyktynki i cygar, jak to było pod Chambois.

Jeszcze jest ciemno, gdy opiwszy się gorącą herbatą z termosów napełnionych poprzedniego dnia, jeszcze przed *black-outem* — zajmujemy miejsca i pułk hucząc i terkocząc wyciąga się długą kolumną po szosie. Rozwidnia się i nawet słońce po całonocnym deszczu zaczyna wyglądać zza strzępiastych chmur. Wzdłuż drogi ludność wita nas machając rękami, chorągiewkami francuskimi i angielskimi, a czasami nawet polskimi. Od czasu do czasu spotykamy ślady pośpiesznego odwrotu: popalone, często dymiące jeszcze samochody, porozbijane wozy konne i niezliczone końskie trupy.

Gdy postój wypada w jakimś osiedlu, czołgi otacza tłum ofiarowując kwiaty, *cidre* a czasami prawdziwy, ognisty Calvados. Obdarte i nieogolone typki z opaską na ręku i karabinem za plecami uwijają się energicznie, wyłapując po lasach i rowach maruderów niemieckich, a gdy w jednym z miasteczek, wśród rozentuzjazmowanego tłumu, ktoś na widok grupy prowadzonych jeńców krzyknął: — "*Les Boches*!" momentalnie w najbliższym zasięgu jego głosu poginęły w sposób szybki i tajemniczy wszystkie alianckie chorągiewki. Niemcy byli tu jeszcze rano i rekwirowali konie i rowery, uciekając na północ "do Belgii", jak twierdzili jeńcy — Polacy.

A tych bierzemy sporo. Skarżą się, że Niemcy ich pilnują i że tak trudno jest uciec, oraz narzekają na lotnictwo alianckie i artylerię, która zmusza ich do ciągłego ukrywania się. — "Niech pan popatrzy, jaki jestem blady — powiada jeden z nich — przecie ja od miesięcy maszeruję w nocy, a w dzień śpię pod ziemią". Młody, energiczny Ślązak, klnąc od "pieronów" zwierza się, jak mając możność korzystania z radia nastawiał go na londyńską stację i wiedząc o oddziałach polskich we Francji starał się od dłuższego czasu do nich dołączyć. Ostatnie cztery dni spędził ukryty w lesie, czekając na ucieczkę Niemców i na widok pierwszych czołgów wylazł na drogę a los chciał, że to były czołgi polskie. — "Te pieruny — powiada — kłamią nam i oszukują; myśli pan, że mają tajemniczą broń? To są nasze nogi na których uciekamy".

Po południu pułk staje za wsią na czas dłuższy. Rozpoznanie donosi, że na rzece mosty są zerwane, a miasto, które jakoby miało być zajęte przez Kanadyjczyków jest ciągle w ręku nieprzyjaciela, który kładzie dość mocny ogień moździerzy i działek ppanc. Zaczyna się nudna i pracowita działalność patroli i artylerii. Tego dnia obiad mi nie smakuje, a ręce zdają się być brudniejsze, niż zwykle. Cień "latającej bomby" zawisł widocznie nade mną.

Jest beznadziejnie nudno i szaro, gdy raptem jeden z patroli komunikuje, że w lesie odległym o półtora kilometra są jakieś tajemnicze budowle. Korzystam z pierwszej okazji i siedząc na wieży wywiadowczego czołgu jadę na zwiady. Czołg skacze po bruzdach i dziurach, więc kurczowo trzymam się jedną ręką anteny, a drugą czegoś, co mi przypomina czajnik, a co nim prawdopodobnie nie jest. Im bliżej lasu tym więcej olbrzymich lejów — śladów bombardowań alianckich. Dojeżdżamy do skraju i dalej wędrujemy piechotą.

Teraz dopiero mogę się naocznie przekonać o potędze ciężkich bomb lotniczych. Duże drzewa nie są ani popękane, ani połamane, ale wprost wyrwane z ziemi i rzucone o kilkanaście metrów. Tak samo ukryte wśród krzaków jakieś grubościenne i grubosufitowe schrony betonowe są przesunięte razem z otaczającą je ziemią z miejsca na miejsce i pogniecione, jak tekturowe pudełka. Bomba nie musi trafić w 60-centymetrowy dach, wystarczy, że uderzy o kilka metrów od takiej budowli, aby zostały z niej chaotycznie pomięszane bloki. Sama wyrzutnia nieskończona jeszcze, bo bez pomostu, składa się z dwóch pochyłych betonowych ścian o długości około 70 metrów i u końca wysokości plus minus 8 metrów. Szerokość jej 4 — 6 metrów. Trafiona na początku i na końcu, nigdy nie była używana i prawdopodobnie Niemcy zaniechali jej wykończania, gdyż zniszczenie terenu jest idealne i kompletne. Ocalały jedynie niewykończone dwa schrony mieszkalne z dużą salą pośrodku i szeregiem pokoi mieszkalnych po dwóch jej bokach.

Przeskakując przez zwalone pnie drzew, omijając głębokie leje, a ciągle bacznie patrząc pod nogi w obawie przed jakąś złośliwie pozostawioną niespodzianką, wychodzę z lasu na pole. Czuję się jakbym wyszedł z domu, gdzie spoczywa nieboszczyk. Ale nie czuję żalu — poranny sentyment do "ślepograta" prysł — był on jedynie wywołany skojarzeniem z komfortem życia cywilnego, wygodnym spaniem i czystymi paznokciami. Po miesiącu prawie pobytu w linii są to już rzeczy tylko przyjemne, ale nie niezbędne.

Włażąc z powrotem na czołg i zabrudziwszy nie wiem po raz który tego dnia ręce o jakiś lepki smar, czuję się dużo bardziej swojsko. Deszcz zaczyna mżyć, a uparty moździerz niemiecki śle pociski za pociskami na sąsiednie pole, szukając rozpaczliwie nas, czy może naszej artylerii. Za rzeką pali się miasto i na odległej szosie raz po raz wybuchają nowe krótkotrwałe pożary. To nieprzyjaciel niszczy swój sprzęt.

I następuje kompletna powrotna równowaga ducha wyprowadzona o świcie przez "ślepograta". Czuję już tylko żal, że wozy będą spalone i łupy wojenne zginą razem z nimi. A tak gwałtownie potrzebuję czegoś do napełnienia manierki, brakuje mi papierosów i całych skarpetek!

Od okolicznej ludności zbieram parę faktów o "latających bombach". A więc wyrzucanie ich nie jest prawdopodobnie rzeczą taką prostą, jak się zdaje. Podobno bardzo często bomba nie leci w kierunku należytym, a zmienia bieg i pada, tak jak poranna, gdzieś na terenie francuskim. Mały defekt w sterach lub zacięcie jakiegoś mechanizmu powoduje, że zaraz po starcie bomba się przechyla i wybucha bardzo blisko wyrzutni.

Przywozi się je z Niemiec ciężarówkami. Za taki transport płacili Niemcy 25.000 franków, a robotnicy pracujący przy samych wyrzutniach pobierali 1000 franków dziennie. Widocznie "ślepograt" jest bestią złośliwą. Nie czuję już do niego ani cienia sentymentu.

MARIAN WALENTYNOWICZ

rysował MARIAN WALENTYNOWICZ



Morskie boje pancerniaków

Gandawa 28 września

Porucznik B.S., który walczy obecnie w Holandii, jest z wykształcenia prawnikiem i przed wojną pracował w jednym z naszych wielkich przedsiębiorstw hutniczych na Śląsku. Nie śniło mu się nawet, że losy wojny rzucą go do Wielkiej Brytanii. Nie słyszał nigdy o Chambois, gdzie jego pułk miał się okryć chwałą. Nie marzył nawet o wyzwalaniu dużej połaci Flandrii. Nie było zresztą takiego proroka, któryby przepowiedział losy tej wojny. Sam zaś porucznik B.S. nigdy, nawet w najśmielszych swoich marzeniach, nie myślał, że we wrześniu 1944 r. zostanie nagle kapitanem okrętu niemieckiej marynarki wojennej. Okręt to wprawdzie niewielki, a kariera morska porucznika krótka, ale epizod ten był może jednym z najdziwaczniejszych, jakie nam ta dziwaczna wojna przyniosła.

Trzeba zresztą od razu zaznaczyć, że cały jego pułk dokonał czegoś całkiem nowego w dziejach wojen, a mianowicie walczył z jednostkami niemieckiej marynarki wojennej.

CZOŁGI PRZECIW BARKOM

Zaczęło się to wszystko w dniu 20-ym września, dokładnie miesiąc po bitwie pod Chambois. "Cromwell'e" naszych pancernych podchodziły w pobliże portu Terneuzen. Rzeka w tym miejscu jest jakieś cztery kilometry szeroka i ewakuacja cofających się oddziałów niemieckich nie była łatwa. Nieprzyjaciel używał do tego celu barek szturmowych, patrolowców i innych niewielkich okrętów.

Wysunięty szwadron pułku dostrzegł trzy takie barki pokaźnych rozmiarów, które utknęły na mieliźnie w odległości czterech kilometrów. Otworzył ogień. Nasza artyleria wkrótce przyłączyła się do akcji. Celne pociski trafiały w barki niemieckie. Piechota nieprzyjacielska zaczęła wyskakiwać na mieliznę i tyralierą brnąć w stronę odległego brzegu. Polacy położyli ogień i przez lornetkę można było widzieć, jak tyraliera niemiecka padała . . .

Niemcy mieli jeszcze grunt pod nogami, ale nie było dla nich ratunku. Mielizna nie miała połączenia z lądem i rozbitkowie skupiali się coraz bardziej na jej najdalszym skrawku. Było to już poza zasięgiem naszej artylerii, ale czego nie dokonały polskie pociski, to zrobił nadchodzący przypływ. Z wyjątkiem nielicznych szczęśliwych, których wyratowały motorówki niemieckie, wszyscy rozbitkowie w liczbie kilkuset zginęli.

To samo powtórzyło się w dwóch innych punktach i w sumie pułk ten przy wsparciu artylerii zniszczył sześć wielkich barek niemieckich oraz zdobył jeden okręt patrolowy.

I tutaj właśnie zjawia się na scenie porucznik B.S.

PATROLOWIEC "X."

Tegoż dnia, w godzinach popołudniowych porucznik B.S. dostrzegł w odległości kilkuset metrów od mola rybackiego w . . . niewielki okręt niemiecki stojący na kotwicy. Na pokładzie nie widać było żywej duszy i zdawało się, że okręt był opustoszały. Porucznik postanowił zbadać sprawę osobiście i wejść na pokład. Udało mu się skłonić czterech rybaków holenderskich do zabrania go w łódce do okrętu.

Okazało się, że załoga rzeczywiście uciekła. Gdy porucznik z pistoletem w ręce wszedł na pokład nie znalazł ani jednego Niemca. Resztki niedojedzonego posiłku świadczyły o tym, że nieprzyjaciel uciekł w pośpiechu. Ale dlaczego? Okręt był nieuszkodzony, magazyny pełne amunicji i żywności, zbiorniki paliwa zawierały dostateczną ilość ropy . . . Tajemnica wyjaśniła się wkrótce — na skutek defektu nie można było zapuścić silnika. Załoga, widząc polskie pociski wybuchające dokoła uznała, że należy ratować życie i pozostawiła okręt na łasce losu.

Porucznik postanowił przejąć tę jednostkę floty niemieckiej w imieniu swego pułku i przy pomocy Holendrów doholował patrolowiec do mola. Następnego dnia miano przystąpić do naprawy silnika, a potem . . . Istniały już śmiałe plany przepłynięcia rzeki i zbadania przeciwległego brzegu, gdyż brak było danych o siłach i umocnieniach nieprzyjacielskich.

RAPORT BOJOWY NR. 1.

W nocy z 20 na 21-go września porucznik B.S. zbudził się nagle koło czwartej nad ranem i postanowił sprawdzić, czy "jego" okręt jest wciąż przycumowany do mola. Niepokój oficera okazał się uzasadniony — okrętu nie było. Natomiast w ciemnościach porucznik zauważył małą łódkę oddalającą się od brzegu. Seria ze "Stena" skłoniła wioślarza do powrotu. Był to Niemiec, który usiłował przeprawić się na drugą stronę rzeki.

Po wzięciu go do niewoli porucznik B.S. w towarzystwie rybaka holenderskiego wyruszył łódką na poszukiwanie "swojego" okrętu. Szczęśliwym trafem natknął się nań w ciemnościach zaledwie kilkaset metrów od brzegu, wszedł na pokład i stwierdził, że okręt jest nadal pusty, po czym zarzucił kotwicę.

W ciągu dnia na pokład weszła "załoga" złożona z czterech żołnierzy. Porucznik postanowił następną noc spędzić z nimi na okręcie. Po zmroku usłyszeli nagle szum silników jakiegoś okrętu, potem krzyki i wreszcie w ciemności zaczęły w stronę zdobytego patrolowca padać strzały z działek.

W archiwum pułku znajduje się krótki dokument opisujący to wydarzenie: jest to raport bojowy nr. 1 z pokładu patrolowca.

"*Dnia 21.IX.1944 r.* — czytamy — *o godzinie 20,50 z kierunku płn. wsch. zaangażował nas patrolowiec npla. Po 30 minutowej walce ogniowej npl. wycofał się w kierunku płnc. wsch.*"

PODNIESIENIE BANDERY

Nazajutrz na pokładzie patrolowca wrzała praca nad naprawą silnika. Wreszcie po kilku godzinach, przy pomocy butli tlenu pożyczonych z pobliskiego browaru udało się silnik zapuścić. Na maszcie podniesiono banderę polską i okręt był gotowy do wyruszenia.

Porucznik B.S. był oczywiście "kapitanem". Stanowisko "naczelnego inżyniera" okrętowego powierzono oficerowi technicznemu pułku, który kierował uruchomieniem silnika i w dodatku miał wielką przeszłość żeglarską, gdyż w 1939 r. spędził 28 godzin w łódce, uciekając z Łotwy. Na sternika trzeba było oczywiście fachowca, zaraz też przyjęto usługi chętnego rybaka holenderskiego, który bardzo się do tej wyprawy zapalił — ku zgrozie swej żony.

W chwili, gdy załoga zabrała się do podniesienia kotwicy, artyleria niemiecka otworzyła ogień. Pociski z ciężkich dział zaczęły padać coraz bliżej i bliżej. Na dobitkę łańcuch kotwiczny zaplątał się i okręt był unieruchomiony.

Gdy było już całkiem widoczne, że artyleria niemiecka się wstrzelała "kapitan" i "naczelny inżynier" uznali, że trzeba okręt opuścić. Czym prędzej całą załogę wyewakuowano na ląd i to ani o minutę za wcześnie. Kilka pocisków trafiło w patrolowiec, wzniecając pożar. Jeden wybuchł nawet w komorze amunicyjnej, cudem nie wysadzając okrętu w powietrze.

KONIEC ESKAPADY

"Kapitan" wraz z całą "załogą" obserwował bezsilny to dzieło zniszczenia. Po wystrzeleniu stu pocisków Niemcy doszli do wniosku, że groźba inwazji ich brzegu minęła i zaprzestali kanonady. Na pokładzie paliło się, amunicja wybuchała bez przerwy i chmura dymu unosiła się nad okrętem. Mimo to "naczelny inżynier" podpłynął łódką, aby ratować swoje dokumenty osobiste, które w pośpiechu zostawił na pokładzie.

Kilka wiader wody wylanych na płonący pokład stłumiło pożar który, jak się okazało, podsycany był stopionym masłem, przeciekającym z wielkiej beczki. Zachęcony tym powodzeniem "naczelny inżynier" zaaplikował jeszcze kilkadziesiąt wiader wody i pożar opanował. Niestety Niemcy znowu otworzyli celny ogień i trzeba było w pośpiechu płynąć na brzeg.

Nazajutrz o siódmej rano załoga wróciła na pokład. Tym razem udało się podnieść kotwicę i patrolowiec, przepływając w odległości zaledwie pół kilometra od brzegu niemieckiego, dotarł do portu Terneuzen, gdzie czeka na naprawę.

Tymczasowi marynarze wrócili do swoich czołgów pełni niezwykłych wrażeń.

KONRAD SYROP

Przez ciało skrwawionej Normandii

12 kilometrów na południowy zachód od Bayeux jest kompleks leśny 8 × 6 klm. Foret des Biards. W północno wschodniej części tego lasu zbiega się pięć dróg: z Bayeux, Balleroy, St. Lo, St. Clair i Isigny. W miejscu ich przecięcia się był mały objazd /angielski *roundabout*/, w środku objazdu była chatka. Można sobie wyobrazić, że takie chatki są w ilustracjach do bajki o wilku i Czerwonym Kapturku. Możemy sobie to wyobrazić tym śmielej, gdyż nikt i nic nie wyleczy nas ze złudzeń. Z chatki została kupka gruzów, a mały angielski *roundabout* został poszerzony do średnicy 200 metrów. Las, który podchodził do chałupki, zaglądał w jej okna, odepchnięto do tyłu.

Tu, właśnie na przecięciu się dróg był niemiecki punkt oporu, robiący dużo wstrętu wojskom ziemnym. Sprowadzono lotnictwo. W przeciągu pięciu minut z chatki, lasu dokoła i oporu zostały jedynie słabe ślady. Wojsko poszło naprzód. Potem przyszły buldozery i załatały wyrwy w drogach. Tabliczki z napisami miejscowości i oddziałów stanęły u szyi każdej drogi. Pośrodku, obok ruin zalegających miejsce, gdzie była chatka, wojskowy żandarm ziewa teraz przy swoim motocyklu.

Drogi zbiegają się jak poprzednio, przyjmują na swoje ramiona setki samochodów, lecz punkt ich przecięcia się nie leży już w gęstym, czarnym mrokiem podbitym lesie, lecz na szerokim wygolonym majdanie, przez który idzie ulewa słońca i mogą swobodnie buzować wiatry. W przejściu pomiędzy pierścieniem objazdowym a dalekim lasem, wśród olbrzymich kraterów i olbrzymich kretowisk sterczą ogołocone z gałęzi i kory poskręcane pnie drzew. Powbijane w ziemię czubkami, potrzaskane i pocięte, wyrwane z trzewiami korzenisk i obrócone nimi ku suszącemu i palącemu słońcu, nie dają nawet słabego pojęcia o tym, że tu jeszcze niedawno był las.

Po wjechaniu na wschodnie ramię rozgwiazdy dróg, znajdziemy się za chwilę w Balleroy. Mieścina jak Grójec w Polsce, może trochę mniejsza. Gęś paraduje swobodnie środkiem miasta, prześcigana przez policjanta na rowerze. Z okien zwisają flagi narodowe. Tu i tam rozbite szyby. Tu i tam pocisk armatni wywalił ścianę, rzucając tajemnice wnętrz na żer ciekawości przechodniów.

Droga biegnie wzdłuż rzadkich siedzib, otoczona sadami, podawana sobie nawzajem przez kępki leśne. Pnie się lekko i spada. Przeskakuje przez małe, leniwe strumyki. Domy przydrożne często-gęsto rozwalone lub nadwalone od pocisków artylerii. Po bokach drogi rdzewiejące, żelazne gady Tygrysów i Panter "niezwyciężonej armii Hitlera". Z pourywanymi wieżyczkami, rozpuchniętymi od wewnętrznych eksplozji stalowymi bokami, leżą w dołach i rowach obok drogi. Jeszcze tak niedawno były dumą stalowych dywizji S.S., dumą każdego Niemca. Dziś sycą się wodą deszczową, wrastają swoim ciężarem w wilgotną ziemię Normandii, porastają od dołu zielskiem. Gąsienice jak szkielety groźnych gadów wiją się drogą, jej skrajem, skręcają się w kłęby, wiążą pomosty nad rowami i przecinają żywopłoty.

Taką drogą, bogatą w zieloność, w żółciejące jabłka i stalowe rupiecie, docieramy do Tilly — do tego, co było Tilly. Tu się toczyły zażarte walki i sama miejscowość przechodziła kilkakrotnie z rąk do rąk. Domy zostały rozbite przez bomby i pociski w gruzy, gruz w szuter, szuter w piasek i pył. Ponieważ w środku Tilly zbiegały się cztery drogi ze wszystkich części świata, wszystkie ważne dla transportów wojskowych, buldozery zasypały jamy, zniwelowały nasypiska i oddały szeroki, ubity plac pod koła samochodów. Całe Tilly dzisiejsze to warstwa 2 — 3 metrów piaskowca zmieszanego z wypaloną gliną, z wapnem, popiołem, ciałami pogrzebanych ludzi, po której to warstwie przelewają się niezliczone samochody, po której właśnie my jedziemy także. Wzrok leci po dużym, otwartym na wszystkie strony klepisku, na którego krańcach sterczy kilka rumowisk nie wdeptanych w ziemię. Mąci się w głowie. Jest to rzeczywistość z rzędu tych rzeczywistości, które wywołują silniejsze niedowierzanie niż najszaleńsza fantazja.

Towarzysz jadący ze mną stara się złagodzić mój szok: — Widziałem lepsze rzeczy — powiada — Było to w St. Lo. Wygląda zupełnie jak to Tilly, wrażenie jest jednak o tyle większe, o ile St. Lo było większe od Tilly. Na tym ogromnym placu, który powstał nad dachami byłego miasta jest obecnie park dla samochodów. Było tam również jeziorko. Domy powpadały w wodę i to właśnie jest najmniej zniszczone. Gdy woda się nie marszczy, widać przez nią wyraźnie niektóre klatki pokoi.

W przejeździe mija się po prawej lotnisko Le Capriquet. Był zbiór wierszy Małaczewskiego "Pod niebieską strzechą". Można to zastosować do wszystkich hangarów na lotnisku. Jeżeli nie pozapadane, to świecą na wylot, na przestrzał. Tu także szły walki. Miejscowość Le Capriquet zniszczona bardzo. Droga biegnie pomiędzy wysokimi murowanymi płotami. Pełno w nich dziur od pocisków.

Dalej równa, prosta aleja drzew towarzyszy drodze aż do Caen. Po bokach, na polach doły strzeleckie /*fox holes*/, druty kolczaste, kratery od pocisków, rozrzucone opakowanie z żywności i amunicji. Drzewa pokancerowane od odłamków i kul. Słupy linii wysokiego napięcia idące przez pola — duże metalowe rusztowania — powysadzane z fundamentów, lub poniszczone ogniem artylerii stoją, półleżą, leżą poskręcane i pocięte. Zboża wysokie i gęste płyną jak jezioro na prawo i lewo od drogi. Marnieje krzepki i bujny urodzaj. Szły tędy czołgi zostawiając długie, proste smugi i smugi te są liczne, lecz pola zbóż są ogromne z dalekim horyzontem i trakty czołgów są w nim jak garść cienkiej przędzy rozpostarta na dużej łące.

Półtora miesiąca temu był czas żniw. Lecz właśnie wtedy szły tu żniwa inne. Ogromne, nieobjęte wzrokiem łany zbóż zostały same sobie. Widoczny brak ludzi. Część poginęła, część wyemigrowała na wschód, ci co są, boją się min rozrzuconych w polach. Najprawdopodobniej są one bardzo rzadkie; być może jedna mina wypada na 5 lub 10 kilometrów kwadratowych, lecz przecież przypada.

Tuż przy drodze minie się niekiedy świeże groby. Mały krzyż zbity z desek od skrzyń zawierających puszki z konserwami, lub amunicję, na krzyżu hełm poległego — to wszystko. Czasem tabliczka z napisem.

Tą drogą pokaleczonych drzew, grobów i rdzewiejącego żelastwa dociera się do Caen. Przy wjeździe duży napis ostrzega o istnieniu "*booby traps*". Przedmieście stoi pokaleczone i podrujnowane, lecz ulice są ulicami a domy domami. Bliżej centrum miasta różnice te zaczynają się zacierać. Przychodzą gruzy, rumowiska, całe góry śmieci; nikt już nie rozpozna co było ulicą a co domem. Widziałem po "blitzu" Coventry, Liverpool, Birmingham, Plymouth, Exeter, widziałem najgorsze miejsca w Londynie, ale zniszczeń w stylu Caen jeszcze nie widziałem. W Anglii domy budowane z cegieł zostawiają jakieś resztki murów. Wybuchy bomb krają tam kamienice jak nożem. Tu domy są przeważnie z piaskowca. Wybuch rozsypuje kamień z powrotem w piasek. Następne wybuchy mieszają wszystko dokładniej. W Anglii można cegłę po cegle usunąć całe rumowisko — tu rumowisko stało się jedną, zwartą, stłoczoną masą, wzmocnioną jak żelbeton wewnętrznym szkieletem desek, rur i innego żelastwa. Deszcze zlały rumowiska obficie. Masa osiadła, zbiła się jak zakalec. Najprościej będzie, zamiast usuwać to wszystko, zniwelować jak w Tilly lub St. Lo i pobudować na tym nowe miasto. Za lat parę tysięcy odkopią może te nowoczesne Pompeji, by szukać wśród nich śladów naszej cywilizacji. A ziemia prawdopodobnie przechowa te ślady lepiej i prawdziwiej niż muzea, poddane wojnom i kierunkom warstw rządzących.

Centrum Caen i dzielnica portowa nie istnieją. Zostały starte z powierzchni ziemi. Gruzy odgarnięto z głównych ulic na bok, spiętrzono je; cały ruch odbywa się wąwozami wśród spiętrzeń. W dzielnicy portowej były jednak wielopiętrowe nowoczesne gmachy z betonu i stali, a te nie rozsypują się w piasek. Dolne kondygnacje osłabione przez eksplozję i wstrząsy ziemi, nadkruszone, nie wytrzymują ciężaru całej masy. Gmach zrywa wiązania, skręca się i wali na ziemię, miażdżąc wszystko dokoła. Popękane płaszczyzny betonu okrywają ogromnymi szarymi płatami sześciany, które się oparły sile miażdżenia. Żelazne pręty sterczą z nich wachlarzowatymi grzebieniami.

Gdzieniegdzie, zwłaszcza na południowym przedmieściu ocalały sklepy. Ogonki przed piekarniami. Brak zupełny psów i kotów. Na ocalałych murach ogłoszenia "*Bekanntmachung*" — niemieckie, "*Victoire*" — Sojuszników, "*Terrorisme Stalinien*" — niemieckie, "*Europe reveille toi*" — niewiadomo czyje.

Przejeżdżamy rzekę po moście zbudowanym przez saperów /*Churchill bridge*/. Wąską szyją pomiędzy rumowiskami wydostajemy się na otwarty wyraj, drogą do Falaise. Cała przetrzeń po horyzont, to pole niedawnej walki. Znowu groby przy drodze. Nie było czasu na stawianie krzyży. Karabin poległego, wbity lufą w ziemię przy grobie, zastępuje krzyż. Znowu rozbite czołgi i samochy. Poniszczone działa. Jedno z lufą odciętą jak nożem nad ogromnym kraterem — to skutek bomby. Inne rozerwane od wewnątrz, prawdopodobnie naumyślnie przy cofaniu się. Stal od połowy działa do wylotu pocięta w pozaginane na zewnątrz pasy. Wygląda to jak olbrzymi, niesamowity kwiat o czarnych płatach. Ziemianki i *fox holes*. Napisy: "*Verges checked to 20 feet.*" Znaczenie tego brzmi: "Załatwiaj wszystkie swoje sprawy w odległości 20 stóp od drogi. Jeżeli ten zakaz przekroczysz, wrócisz, albo nie wrócisz". Niekiedy czarne tabliczki z trupią główką i napisem: "*mines*" podkreślają bardziej dobitnie to samo. Na jakimś słupie telegraficznym duża tabliczka: "*Road home via Berlin.*" Wysokie dwukołowe wozy z budami ciągną naprzeciwko ze wschodu. Uchodźcy wracają.

Przydrożny las, to znaczy to, co było lasem, przypomina filmy z pierwszej wojny światowej z frontu zachodniego. Gołe, szpiczaste patyki, sterczące wśród księżycowego krajobrazu — to był las. Jeżeli powtykać zapałki główkami do piasku i porozszczepiać ich końce w drzazgi, wrażenie będzie to samo. Zastanawiam się chwilę, czy rzeczywiście to samo. Zapałki są jasne i to jest cała różnica. Jeżeli okopci się zapałki, na pewno żaden szczegół nie zaprzeczy podobieństwu.

Jedziemy wolno, bo drogą płyną w obie strony dwa sznury pojazdów. Są tu *jeepy*, motocykle, lekkie samochody ciężarowe, ciężkie i najcięższe. Jadą czołgi na ogromnych dwudziesto-czterokołowych lorach. Z frontu w dużych zamkniętych pudłach "*Salvage Units*" — sprzęt wielorazowego użytku: łuski, opakowania, spadochrony, sprzęt zdobyczny. Droga jest wąska i wymijać można tylko wtedy, gdy nic nie jedzie z przodu. Ale z przodu stale jadą. Więc wleczemy się zakurzeni i mokrzy od potu. Wiatr zasnął i żar leje się strugami z nieba.

W kamieniołomie na prawo była wyrzutnia latających bomb. Niestety nie ma czasu na zwiedzanie, a gdyby był, to nie ma zjazdu w bok. Musimy płynąć w tym strumieniu pojazdów z jego rytmem. Wszystko, co wypada z rytmu staje się zatorem, a zator wywala się w bok do rowu. Tak więc leżą w rowie zupełnie dobrze wyglądające samochody osobowe. Służą jako zapas części wymiennych i uzupełnień dla wszystkich co jadą drogą.

Falaise. Drugie wydanie Caen, jeszcze gorsze, jezczcze tragiczniejsze, bo świeższe. Tam już ludzie grzebią się potrochu w ruinach, ruch kipi wąwozami i już na śladach, na ciele umarłego miasta zaczyna kiełkować nowo rozbudzane życie. Jak sam widok miasta straszy, a życie w jego rozpadlinach wywołuje wstrząs politowania, to jednak właśnie to życie, ta ogromna siła, która obumarłszy chwilowo, wraca szybkim napływem fali, oblepiając ludźmi strzaskane głazy, proch i pył jak pleśnią — ta siła wywołuje uczucie wiary, która nie góruje wprawdzie nad smutkiem, ale go łagodzi.

Tu w Falaise zniszczenia są niedawne i mieszkańców jeszcze nie ma. Ogromne zwaliska gruzów przypominają skalne turnie, poszarpane od wichrów, skalne żleby z głazami, które się pozrywały ze szczytów. Tu rozbito miasto, ale go jeszcze nie przemielono na proch.

Droga szuka nieśmiało przelotu pomiędzy zwaliskami. Jest wąska i przepływ jest tylko jednokierunkowy, raz w tę, raz w tamtą. Na skrzyżowaniu stoi żandarm zwany: "*Member of Parliament*" /od liter M.P. na hełmie "*Military Police*"/ albo "*Snowdrop*" — pierwiosnek /od białych getrów, pasa i rękawiczek/. Dziś na żandarmie nie widać białych getrów i rękawiczek, bo cały jest biały od wapiennego kurzu. W miejscach tylko gdzie spływa pot po twarzy formują się się ciemne strumyki.

Stoimy długo czekając na naszą kolej. Turnie szczerzą pokaleczone zręby rzucając ostre, fantastyczne cienie. Niektóre ściany są tak nawisłe, że cudem tylko zdają się trzymać pionowo. Jakiś czas słyszało się szum silników samochodowych w wąskiej szyi ruin, lecz szoferzy znudzeni czekaniem wyłączyli silniki. Czekamy teraz w ciszy. Jest to naprawdę ogromna, ciężka cisza. Nic się nie dzieje, nikogo nie ma, nikt nie idzie, nikt się o nic nie troszczy. Doskonała pustka. Tylko słońce oblepia to swoim żarem i wbija żądło gorąca w szkielety murów.

Odetchnąłem, gdy ruszyliśmy i popełzliśmy znowu naprzód. Nigdzie tak silnie, jak tu w Falaise nie odniosłem wrażenia, że z dwojga smutnych rzeczy: śmierci i pustki, pustka jest rzeczą straszniejszą.

Znowu pola. Pola z niezebranym zbożem i pola minowe. Z krzyżami ubranymi w hełmy i z karabinami przy grobach zastępującymi krzyże. W jednym miejscu tuż przy drodze, odgrodzona od niej kolczastymi drutami góra spiętrzonych min. Leżą — grube, okrągłe dyski jedne na drugich niewiadomo czy już wykryte i wykopane z ziemi, czy jeszcze w nią nie założone z powodu braku czasu. Wzdłuż drogi, w równych odstępach po obu stronach są ustawione beczki z materiałem do zadymiania.

Prawie zawsze tam, gdzie droga zbiega się z rzeczką, jest coś z Czerwonego Kryża. Wszystko w namiotach. Przez podniesione dla przewiewu boczne ściany widzi się leżących rannych. Inni w błękitnych luźnych ubraniach wychodzą poza obręb szpitala; widać ich spacerujących z "*mademoiselles*" i próbujących przeważnie na migi swych zdolności uwodzicielskich.

W jakimś miejscu leżą na łące resztki rozbitego samolotu. Musiał wbić się w ziemię jak meteor na ogromnej szybkości, bo szczątki są drobne i rozsypane na dużej przestrzeni. W miejscu gdzie nastąpiło zetknięcie się z ziemią, mały krater i plama. Po olbrzymich zniszczeniach, do których oko przywykło, obraz ten swoją małością i znikomością nie wywołuje żadnych wrażeń, najwyżej właśnie myśl o małości i znikomości.

Tuż obok w zacisznej gospodzie, okoliczni stateczni obywatele i ich małżonki świętują wolność przy kieliszku *Calvadosa* lub *cidru*. Na ścianie gospody wiszą ciężkie kiści winogron w cieniu "tricolore" i bezwietrzne popołudnie nie usposabia do ruchu.

Poza tym jest niedziela. Policzki mężczyzn śmieją się czerwienią buraka. A zaraz za gospodą, w rowie siedzi kobieta z kobiałką i karmi piersią dziecko. Co odpowie, jeżeli ją zapytać gdzie jej dom, mąż i rodzina? Nie wygląda, by wyszła z domu naprzeciwko. Ma zmęczone oczy i zapadnięte policzki. Wydaje się, że ma za sobą i przed sobą tylko drogę.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

Jeden z wielu

Spotkałem go w Londynie przypadkowo, rok temu mniej więcej. Gdy mi go przedstawiono, jako żołnierza dopiero co przybyłego ze Szwajcarii, okazało się, że mieliśmy wspólnych kolegów i znajomych.

Przybycie z kraju neutralnego w czas wojny wzbudza ogólne zainteresowanie. Niejeden z kolegów uciekł z niewoli, czy to z okupowanej części Europy. Opowiadania o ucieczce zwykle nacechowane są romantycznością. Konspiracja, tajemnicza ucieczka, niebezpieczna podróż, ciągła trwoga i nareszcie cel!

Droga ze Szwajcarii, poprzez okupowaną Francję, aż do Wielkiej Brytanii — musiała chyba być związana z niezliczonymi trudnościami. Na wszystkie moje pytania, Michał Goldin odpowiadał krótko i skromnie: Byłem internowany po upadku Francji. W Szwajcarii życie przechodziło mi na tęsknocie. Nawet studia nie mogły jej zagłuszyć.

Tęsknota, za czym?

Za czynem! To też poprosiłem o pomoc, by móc dostać się do Anglii.

Ale jak Pan przyjechał? jakim sposobem?

Otrzymałem wskazówki jak się przedostać do części nieokupowanej, a stamtąd to już bardzo proste. Gdy przybyłem, zaciągnięto mnie do piechoty.

Pomimo próśb i raportów, do lotnictwa go nie puszczono. Po kilku miesiącach dostałem list ze Szkocji. Michał użalał się na nudy. "Cóż tu po mnie? Przyjechałem umierać, a wyleguję się na plaży".

Nareszcie został wyznaczony, lecz nie do lotnictwa, ale na uniwersytet w St. Andrews. Znów pojawiały się listy jego kochane, dziwne, czyste. Uważał, że nie ma prawa do nauki, bo przyjechał walczyć, a nie studiować.

Perswadowałem mu, że każdy żołnierz, wstępując do Armii, tym samym składa swe życie w ofierze, że posłuszeństwo jest największą cnotą żołnierską. Radziłem, żeby się uczył spokojnie, bo jego wiedza przyda się w Polsce Odrodzonej. Jakoż studia ukończył z odznaczeniem.

Nie spotkałem go, gdy odjeżdżał. Otrzymałem jedynie kartkę drukowaną z adresem: *P /39 Polish Forces, British Liberation Army.* Nastąpiła dłuższa cisza. Na list mój nie miałem odpowiedzi. Aż tu nagle w "Dzienniku Polskim" przeczytałem nekrolog, przesłany przez kolegów z St. Andrews:

B.P.
kapral Michał Goldin
zginął 19.8.44 *w Normandii.*

To było wszystko. W kilka dni później otrzymałem list od Szkotów. Pisali:

"*. . . Jak to widać ze wzmianki w piśmie z St. Andrews, Michał Goldin zginął! Poszedł na ochotnika przywieźć rannych po bitwie koło Falaise . . . Może Pan o tym wszystkim wie! Tacy jesteśmy smutni, że tyle młodych istnień ginie z poświęcenia. Mieliśmy wielu przyjaciół wśród tych młodych ludzi, wielu bardzo drogich przyjaciół. Myślimy ze zmartwieniem o ich rodzinach, o tym wszystkim, co zdołaliby zrobić w tym życiu, gdyby przetrwali tę wojnę! Nie wiem czy pisaliśmy już, że był u nas na herbatce po otrzymaniu stopnia M.A. na uniwersytecie. Widzieliśmy go raz jeszcze, po raz ostatni, gdy przyszedł nas pożegnać przed wyjazdem do Francji.*

Był to niezwykły chłopak. Cichy i tak dobrze wychowany, a jak skromny jeśli szło o własne wyczyny. Jest to zupełnie do niego podobne: pójść, by przywieźć rannych kolegów i zginąć dla zbawienia innych! Zostawił pamiętnik i prosił, żeby go spalić, gdyby nie wrócił. Spełnimy więc jego wolę i zniszczymy ten dokument, choć jest to tak smutne palić jego pismo!" . . .

To wszystko. Nie pozostawił po sobie nic, prócz wdzięczności w sercach swych przyjaciół. Wdzięczności, że tak młodo chciał oddać, co miał najdroższego: życie swoje dla Ojczyzny.

Cześć jego pamięci!

MAREK SZWARC

Polscy spadochroniarze w Holandii

I. Przed ostatnim startem *



Przed odlotem

Nareszcie akcja!

Kiedy odwołany z Londynu nagłym telefonem, przybyłem do bazy polskiej Brygady Spadochronowej, zastałem tam atmosferę radosnego podniecenia i gorączkę ostatnich przygotowań. Było to jeszcze w sierpniu br. Można sobie łatwo wyobrazić jak bardzo nam wszystkim, a szczególnie korespondentom wojennym zapachniała Francja. Ostatni *kit-bag* spadochroniarza był zapakowany, zasobniki podwieszone pod samolotami, szybowce załadowane.

Niestety Amerykanie wydarli nam zwycięstwo. Niemcy za szybko uciekli. Nie mieliśmy już tam nic do roboty. Jak niepyszny wróciłem do Londynu.

Na początku września znów telefon wezwał mnie na łeb na szyję. Znów zastałem w bazie ruch i podniecenie. Tym razem oficer-płatnik wymieniał okupacyjne franki francuskie na również okupacyjne franki belgijskie i guldeny holenderskie. Oficerowie otrzymali nawet po trochę marek niemieckich. Dla odmiany uśmiechnęła się do nas Bruksela i zapachniało holenderskim serem. Lecz znów jak niepyszny wróciłem do Londynu.

Później było jeszcze parę innych podnieceń i półalarmów, ale to już do mnie nie dotarło, nawet trochę zaczęto już wątpić w możliwość spadochronowej roboty.

Łatwo teraz o tym wspominać jak o czymś zabawnym, teraz, po krwawej spadochronowej robocie — ale wtenczas nie przeżywało się tego tak łatwo. Każde zadanie spadochronowe wymaga bowiem ogromu pracy wkładanej w przygotowania i napięcia nerwów, które towarzyszy wszystkim poczynaniom w tych dniach przed akcją. Broń spadochronowa wtenczas daje odpowiedni rezultat, kiedy wszystko, dosłownie wszystko zostało przedtem pomyślane, przewidziane i przygotowane. Każde działanie wojsk powietrznych musi być misterną, precyzyjną grą przeróżnych czynników, z których wiele jest bardzo zmiennych i od człowieka niezależnych. Warunki atmosferyczne, sytuacja ogólna na froncie, a czasem mały szczegół może decydować o wszystkim. Niech na przykład na przewidzianym lądowisku znajdzie się raptem nieprzewidziana bateria artylerii przeciwlotniczej, albo większy oddział z bronią maszynową, a to, co miało dać wspaniałe zwycięstwo, przerodzi się w rzeź własnych oddziałów. Spadochroniarz o tym wie doskonale i niezależnie od tego czy to Paryż, czy Bruksela — mimowoli wciąż wraca myślą do pogody, myśliwców i flaku niemieckiego, do oddziałów wroga, które mogą na niego czekać i samego skoku ze spadochronem.

Aż nareszcie powiedziano mi, że tym razem na pewno. I rzeczywiście wszystko wskazywało, że teraz już nic nas nie odwoła. 17-go września wielka armada samolotów transportowych "Dakota" przeprowadziła w kilku punktach desanty wojsk spadochronowych w Holandii. Polska Brygada Spadochronowa miała w następnej fazie wyskoczyć pod Arnhem i od południa zaatakować przyczółki mostowe na dolnym Renie. Nasz rzut szybowcowy poleciał już z Brytyjczykami. Nie mogło być odwołania.

Odetchnęliśmy więc z ulgą. Nareszcie się spełni. Trudny to był moment psychiczny dla polskiego żołnierza spadochronowego. Brygada przygotowywała się do akcji od trzech lat. Celem jej i marzeniem był skok w Polsce, zrzucającej pęta niewoli. Chwila ta nadeszła, ale droga do Polski była zamknięta. To bolało. Jednakże po tak długich przygotowaniach trzeba było jakoś wyjść z sensem z tej imprezy, tym bardziej, że pozostało wiele miejsc, gdzie była jeszcze okazja walczyć z odwiecznym wrogiem. Jeżeli nie można w Polsce, to już wszystko jedno gdzie. W Holandii jeszcze nas nie było.

Tymczasem prasa brytyjska zrobiła psikusa i ogłosiła, że już Brygada walczy we . . . Francji. Nazwano przy tej okazji polskich spadochroniarzy *"the silken killers"*, co strasznie ich zirytowało, bo tymczasem siedzieli sobie najspokojniej w Anglii chodząc do barów i na dancingi. Teraz już nie możemy pokazać się w Szkocji — powiadali żołnierze — bo tam nas nasi przyjaciele szkoccy opłakują, a my tutaj odstawiamy "lipę". Ale teraz to już nie "lipa" — każdy mruknął do siebie, sprawdzając swoją broń i oporządzenie w przeddzień wyjazdu na lotnisko.

19-go września obudził nas mglisty poranek. Sympatyczne miasteczko angielskie, w którym tak dobrze się żyło — stało się nagle czymś nierealnym i rozpływającym się we mgle. To już należało do przeszłości — jak wiele innych rzeczy i spraw na drodze naszego żołnierza. Rzeczywistością był szereg samochodów i droga, kończąca się skokiem bojowym. Lecz co to jest skok bojowy — tego nikt jeszcze z tych żołnierzy nie wiedział. W samochodach wesoło, ale wesołość ta nie jest beztroska.

Duże zmartwienie powoduje niepewna pogoda. Mgła włóczy się po polach, może jednak opadnie. Ktoś tam widzi nawet przejaśniające się niebo. Ogólnie panuje jednak przekonanie, że teraz, kiedy od naszego przybycia na czas zależy rozwój akcji zgodnie z planem, odwołanie nie nastąpi, a ta "nieprzychylna" mgła utrudni tylko przelot. Ja osobiście martwię się dodatkowo o zawartość mego *kit-bagu*. Jako korespondent wojenny — skoczek spadochronowy z prawdziwego zdarzenia, oczywiście mam ze sobą maszynę do pisania, która jest w tym *kit-bagu*. Właśnie jej los mnie niepokoi.

Kit-bag jest mocnym workiem, do którego spadochroniarz wkłada swoje bagaże: broń, amunicję, oporządzenie i który następnie przypina sobie przed skokiem do nogi. Specjalne urządzenie umożliwia odczepienie worka od nogi w czasie skoku jednym pociągnięciem taśmy. *Kit-bag* opada na długość linki, którą jest przywiązany do szelek spadochronu i szybuje w dół razem ze skoczkiem. Oczywiście ląduje pierwszy, za nim w niewielkiej odległości skoczek. Jest to bardzo proste i wygodne, ale jak wszystko na świecie — potrafi spłatać przykrego figla. Podczas ostatniego, ćwiczebnego skoku miałem rzeczy w *kit-bagu* mego towarzysza-sąsiada w samolocie. Po wylądowaniu stwierdziliśmy smętnie, że *kit-bag* się urwał. Lepiej było potem do niego nie zaglądać: pistolet maszynowy miał lufę w kształcie łuku, biscuity w chlebaku starły się na mąkę, a menażka była pomięta jak arkusz papieru. Jeżeli to samo stanie się z maszyną do pisania . . . Wierzę jednak, że nic się nie stanie i wydaje mi się, że niebo w jednym miejscu też się przejaśnia.

Na lotnisku kilkadziesiąt "Dakot" ustawiło się szpalerem wzdłuż *runway'u*, na którym ruch jak na Piccadilly: auta ciężarowe, limuzyny, *jeepy*, ciągniki — jeżdżą tam i z powrotem. Nawet kantyny przyjechały i można kupić czekoladę. To już na pewno polecimy.

"Dakota", w której mam lecieć, posiada Nr. 110 i jest najpiękniejszą z "Dakot". Oczywiście numer też jest najszczęśliwszy i można powiedzieć na pewniaka, że nic złego nam się nie może stać. Tak myśli o swym samolocie i numerze na nim każdy spadochroniarz przed skokiem. Ale moja "Dakota" ma ponadto coś więcej: długi szereg namalowanych na kadłubie obrazków: spadochroniarzy na spadochronie, czerwonych krzyżów, objuczonych wielbłądów i . . . osłów.

Pilot, Amerykanin, objaśnia mnie co oznaczają te symbole. Każdy z nich to bojowy lot — ten *"ship"* miał ich dotychczas 26. Spadochroniarze oznaczają zrzuty ludzi, czerwone krzyże — transport rannych, zwierzęta — zrzuty zaopatrzenia: wielbłądy — w Afryce, osły — na Sycylii. Jeden z moich towarzyszy radzi Amerykaninowi, aby po 27-ym locie operacyjnym domalował na "Dakocie" zamiast nowego spadochroniarza . . . 14 osłów. Bo nas jest właśnie czternastu.

Tylko cztery "Dakoty" na tym lotnisku są równie zasłużone, więc wierzymy w nasz samolot. Zresztą wszystkie są wspaniałe i można śmiało powiedzieć, że spadochroniarze kochają się w "Dakotach". Prawdopodobnie dlatego, że liczą na wzajemność, a od tej wzajemności zależy ich życie. Poza tym "Dakota" posiada szereg wspaniałych zalet, których brakowało bombowcom przystosowanym do zrzucania spadochroniarzy. Z tych ostatnich skakało się przez dziurę w podłodze, co było trudne i mniej bezpieczne. "Dakota" posiada do tego celu drzwi, z których żołnierz po sygnałach świetlnych *"action station"* i *"go"* sam nie wie kiedy "wysiada". "Dakota" jest wewnątrz jasna i wygodna jak autobus. Amerykańscy piloci też kochają te swoje *"shipy"* i nadają im różne nazwy, z których większość jest wspomnieniem jakichś romantycznych przeżyć. Czytam więc na "Dakotach". *"Marguerite"*, *"Mary"*, *"Sweater girl"*, a pod napisem *"Miss Chapely"* wymalowano leżącą dziewczynę w stroju Ewy z okresu jej niewinności.

Dużo też jest humoru wśród tych nazw i malowideł. W samolocie *"Strange cargo"* mają lecieć akurat nasi pułkownicy, a jeden z oficerów o nazwisku Zając, ku ogólnej wesołości zobaczył na swoim samolocie ni mniej ni więcej tylko napis *"The Wilde Hare"*. Jak się później okazało, ten samolot był naprawdę "dziki": zgubił się w chmurach, zapędził się nad jakiś niemiecki flak, został postrzelony i musiał przymusowo wyrzucić spadochroniarzy — na szczęście na terytorium zajęte przez wojska alianckie.

W południe niebo się przetarło. Sierżant R.A.F. jadąc na motocyklu wzdłuż szpaleru samolotów zaczął nawoływać do nakładania spadochronów i wsiadania do samolotów. Zrobił się ruch przy "Dakotach" i ogarnął nas nastrój poważny. Teraz już na pewno.

—Obawiam się, że tym razem nie odwołają — próbował jeszcze żartować jeden z naszych spadochroniarzy. Ale nikt nie podejmuje żartów. Wszyscy są zajęci przesuwaniem taśm, do których przypina się "taśmę życia" spadochronu, ustawianiem *kit-bagów*, poprawianiem pozycji rowerów, które nasz *"stickman"* czyli dowódca grupy spadochroniarzy w samolocie wyrzuci przez drzwi, zanim sam wyskoczy, a my pójdziemy za nim — jak owce.

Jest nas — jak wspomniałem *à propos* osłów — czternastu spadochroniarzy w tym samolocie. Strasznie mieszane towarzystwo. Żandarmów jest trzech i są mocno reprezentowani, bo jeden z nich jest naszym *"stickmanem"* — plutonowy M. — doskonałym *"stickmanem"* z głową, odwagą i pogodą na twarzy. Zazwyczaj *"stickmanem"* bywa oficer, ale naszym jedynym oficerem jest kapelan — wolno mu więc nie znać się na sprawach spadochronowych, ale jak każdy żołnierz Brygady — jest odważnym, rutynowanym skoczkiem. Naprzeciw mnie siedzi komiczny chłopak, sympatyczny dla wszystkich, bo jest kucharzem. Tamtych paru — to podoficerowie administracyjni. I wreszcie kilku z łączności. Do nich właśnie należą podwieszone pod kadłubem naszej "Dakoty" dwa zasobniki z drogocennym sprzętem radiowym.

Amerykańska załoga uśmiecha się do nas i zapytuje, czy "O.K." Pilot puszcza w ruch motory, samolot zaczyna drgać. Radiotelegrafista nakłada słuchawki na uszy. *Push-man* czyli "wykidajło" wciąga zewnętrzne schodki. Nastrój jeszcze bardziej uroczysty.

Radiotelegrafista odkłada słuchawki i wstaje. Po chwili pilot wychodzi — wykrzywia się do nas — nie wiem, czy to jest uśmiech, czy złość. I już wszystko wiemy.

—Z powodu złej pogody start odłożony na 24 godziny . . .

Psiakrew! . . .

Wróciliśmy do bazy w "nijakim" nastroju, t.zn. z ukrytą złością i niesmakiem do całego świata. Zamiast gdzieś tam w Holandii lądować na zrzutowisku wrogich niespodzianek, poszedłem . . . do kina, na film *"Bedtime story"*. Łatwo powiedzieć — ale ile to wszystko kosztowało nerwów uświadomiłem sobie dopiero, gdy sąsiad trącił mnie, abym nie chrapał, bo ludzie oglądają się i śmieją.

Na drugi dzień rozpoczęliśmy wszystko od początku. Załadowanie do samochodów, przejazd przez angielskie wsie i miasteczka. Ci sami ich mieszkańcy serdecznie kiwający nam rękami na pożegnanie. To samo lotnisko i samoloty. Ta sama niepewna pogoda. I odkładanie startu z godziny na godzinę. I żarty, zmieniające się w powagę. Nakładanie spadochronów i *lifebeltów* /pasów bezpieczeństwa/. Zajmowanie miejsc w samolocie. Tylko że silniki zagrały zdecydowaniej i "Dakoty" zaczęły pełznąć ku *runway'owi*. Teraz już na pewno polecimy!

W tym momencie radiotelegrafista zdejmuje z uszu słuchawki:

—Start odłożono na 24 godziny! . . .

Siedzimy przez chwilę jak ogłuszeni. Potem każdy coś mówi podnieconym głosem. Potem znów zapada milczenie — nikt nie rusza się ze swego miejsca. Piloci przechodzą przez kabinę nie patrząc na nas. Apatycznie zaczynamy wstawać i zabierać swoje *kit-bagi*.

Każdy niedoszły do skutku lot na zadanie bojowe jest olbrzymim wysiłkiem nerwowym tak poszczególnego żołnierza, jak i całości oddziału, który, zapięty na ostatni guzik przed startem, musi znów przestawiać się na życie w garnizonie. Żołnierze, wymieniwszy pieniądze na zagraniczne, zostają bez grosza. Kuchnie zlikwidowane i spakowane — znów muszą rozpoczynać pracę i to natychmiast. Bielizna się brudzi i nie wiadomo, czy jest czas oddać ją do prania.

To ciągłe pogotowie, zakaz opuszczania kwater, prowizorka — wszystko to zaczyna ciążyć i męczyć niesłychanie. Radosne podniecenie przed pierwszym alarmem stopniowo przeradza się w udrękę.

Trzeba mieć w sobie dużo pogody i samozaparcia, by z uśmiechem to przetrzymać. Tym bardziej, że tam, w dalekiej Holandii, walczą już nasi brytyjscy sprzymierzeńcy, a u ich boku koledzy z rzutu szybowcowego, który już zdążył tam wylądować. Nie bez strat — jak wieści dochodzą.

Obecność Brygady na tamtym polu walki jest już koniecznością, a pogoda wciąż beznadziejna. Wreszcie te wahania fantastyczne nastrojów: od humoru do powagi, od napięcia nerwów i kompletnego przygotowania przed startem — do rozczarowania i stoczenia się na dno podejrzeń, że to wszystko "lipa". Wszystko to trzeba przetrzymać. Jeszcze przed akcją, chociaż to jest niczym wobec niej.

To wszystko przeżywałem z żołnierzami Brygady Spadochronowej w ostatnich tygodniach przed jej odlotem na pierwszy w dziejach wojen polskich bój spadochronowy.

Na trzeci dzień — był to już czwartek 21 września — znowu w jesiennej mgle przesunęły się kolumny samochodów przez wsie i miasteczka angielskie w drodze na lotnisko. I znowu miejscowa ludność machała rękami na pożegnanie: *God bless you*! /Niech was Bóg błogosławi/.

Tym razem samochody wracały do bazy bez żołnierzy Brygady Spadochronowej. A po chwili całe niebo wypełniło się potężnym graniem setek maszyn. Idealne, jak na paradzie, trójki "Dakot" popłynęły w kierunku na morze.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI



---

* Jest to pierwszy z artykułów o akcji naszej Brygady Spadochronowej w Holandii, napisanych specjalnie dla "Polski Walczącej".

Sprawy polskie w książkach angielskich

O ODWADZE POLAKÓW

W książce Roberta Henreya *The Incredible City*,* która daje barwny obraz Londynu czasu wojny, znajdujemy — podobnie jak w wydanej przed dwu laty tegoż autora *A Village in Piccadilly* /o Shepherd's Market/ — liczne wzmianki o Polakach i Polkach, z którymi autor się zetknął, których widział i słyszał lub obserwował.

Z okazji tragicznej śmierci gen. Sikorskiego Henrey cytuje opowiadanie pewnej Bretonki, która — pełna "podziwu dla tej dzielnej rasy" — spotykała się z Polakami w czasie swego pobytu w Madrycie. "Wielu z nich miało już za sobą straszliwe przeżycia, ale natychmiast po przybyciu robili wszystko, by jechać dalej, a gdy informowano ich, że mają czekać kilka dni na bezpieczną podróż, rzucali okiem na mapę i tego samego dnia wyruszali n a p i e c h o t ę do Lizbony".

Znana jest bajka o Tomciu Paluchu, porzuconym przez rodziców w lesie i znaczącym sobie powrotną drogę przy pomocy kamyków czy okruszyn chleba. Pewna młoda Polka odbywała podróż z Madrytu do Lizbony w towarzystwie kilku rodaków. Gdy trzeba było zorientować się w położeniu, zostawiała towarzyszy ukrytych w lesie, sama zaś udawała się do pobliskiego miasteczka. Wiązanki kwiatów, porozrzucane na ścieżkach i przywiązywane do gałęzi drzew, wskazywały jej potem drogę do kryjówki.

"Są ludzie, którzy mówią o tej pogardzie dla niebezpieczeństwa jako o nowym rysie w charakterze Polaków". Ale nie jest to prawda — zaznacza Henrey, przypominając fragment z pamiętników księżnej d'Abrantès, poświęcony wędrówce 18-letniego oficera nazwiskiem Leckinski /Leszczyński?/ z Madrytu do Lizbony. Przebrał się on za Rosjanina, ale wojska gen. Castanos schwytały go na trzeci dzień. Poznał go pewien chłop, który dostarczał furażu do Madrytu dla armii francuskiej i któremu właśnie Leszczyński wydał pokwitowanie. Jeńca poddano tygodniowym torturom, zastawiano najprzemyślniejsze pułapki — "niewiarogodna *sang-froid* /zimna krew/" ocaliła Polaka. W końcu uwierzono jego zeznaniom i pozwolono na dalszą wędrówkę do Lizbony.

PIES, KTÓRY UMIAŁ PO POLSKU

W zbiorze dwunastu opowiadań Ward-Jacksona* z życia Królewskich Sił Powietrznych jedno nosi tytuł: *The Dog Who Speaks Polish*. Jest to wzruszająca historia o psie Miszce, adoptowanym przez polski dywizjon lotniczy. Włożona jest w usta sierżanta, który przez pewien czas przebywał na kursie w Uxbridge, gdzie ów dywizjon stacjonował.

"Straszliwe" trzaskanie obcasami i "śmieszny" zwyczaj sztywnego przeginania się w pasie przy ukłonie, ostry sposób zabierania się do kobiet, początkowo drażniły Anglików. Ale po wypadku na lotnisku, kiedy jeden z Polaków uratował życie kapralowi brytyjskiemu, sytuacja się wyjaśniła. Polacy przedzierzgnęli się w "Stanlich", "Nicków" i "Henrich". W czasie lotów bombowych pracowali jak kulisi, po powrocie — umieli się bawić: tańczyli do świtu, a śpiewy ich mogłyby zbudzić umarłych. Poza tęsknotą do najbliższych — dokuczał biedakom brak dwóch rzeczy: wódki i polskich potraw; "... o piwie nie mają dobrego pojęcia".

Pewnego dnia jeden z kaprali przyprowadził na sznurku psa-przybłędę, kundla czy też mieszańca. Napojono go i nakarmiono, lecz na drugi dzień pies znikł. Odnalazł się w kilka tygodni potem u boku polskich mechaników w hangarze. Szczekał, jakby wzywając Polaków do przerwania roboty i do rozpoczęcia zabawy. "Więc Polak wydał rozkaz — po polsku! A pies przysiadł i zaczął służyć. Wtedy mechanik powiedział coś innego, pies podniósł się i — zaczął z wolna iść w tył! Znowu zamamrotano, pies położył się i zaczął turlać się jak beczka. Na Boga żywego, było w tym coś niesamowitego. Przysięgam, że pies nie mówił po polsku, kiedy go ostatni raz widziałem!". Sierżant próbował odezwać się do Miszki po angielsku — ale pies nie reagował. Najprzedziwniejsze sztuczki — "stawał niemal na głowie" — robił tylko na polską komendę.

Towarzyszył dywizjonowi na rannych zbiórkach, asystował przy wypłatach gaży, podczas nabożeństw niedzielnych wystawał u wejścia do kościoła, niekiedy brał udział w lotach, przy czym imię jego najstaranniej wpisywano do odpowiedniej rubryki *"log'u"*. Kiedyś nawet zauważono go na polskim koncercie. Mieszkał we własnym domku zrobionym ze starych skrzyń — "replika polskiego dworu".

Obrożę Miszki zdobiły drewniane miniaturowe modele bomb. "To fakt! Rozmawiałem o tym z jednym z "Polskich" i dowiedziałem się, że Miszka dostawał nową bombę za każdym razem, kiedy udawał się na wyprawę. Co za naród!" — zaznacza sierżant.

Pewnej nocy załoga, z którą Miszka poleciał, nie wróciła. Dywizjon polski przeniesiono gdzie indziej: "... żałowaliśmy, że odchodzą, a pomiędzy Waaf'kami było trochę płaczu — jedna lub dwie wyszły za mąż za Polaków".

Mniej więcej w dwa miesiące potem policja jednego z miast w północno-wschodniej Anglii doniosła, że przybłąkał się pies, na którego obroży znajdowała się blaszka z nazwą lotniska w Uxbridge. Nie było wątpliwości, że chodzi o Miszkę, i wkrótce pies znalazł się z powrotem na lotnisku. Był bardzo zbiedzony, kości przeświecały mu przez skórę, nie mógł nic przełknąć. Ocalenie zawdzięczał zapewne zdolnościom pływackim rasy /Schipperke/, której krew płynęła w jego żyłach. Zawiadomiono polski dywizjon, i dwóch lotników wraz z kpt. Radnowskim zjawiło się po psa. Po raz pierwszy Miszka zareagował na ludzi słabym machnięciem ogona.

Sierżant nie chciał wierzyć własnym oczom, gdyż przede wszystkim dokonano ceremonii przyczepienia na obroży dziewiątej bomby, po czym psa zabrano — na ręku, nie był bowiem w stanie utrzymać się na nogach. Sierżant otrzymał na pamiątkę srebrną odznakę: sokoła w locie, z laurowym wiankiem w dziobie.

* *"The Incredible City". By Robert Henrey. Londyn, J. Dent,* 1944; *str. 6nl. i* 195 *i 3nl i tabl.* 8.

*" *No Bombs At All. Some Short Stories of the Royal Air Force," by C. H. Ward-Jackson. With Wood Engravings by Biro. Londyn, Sylvan Press*, 1944; *str.* 123 *i 5nl.*

OD GDYNI DO REGGIO

Ukazała się książka A. D. Divine'a, znanego reportera morskiego, współpracownika prasy lorda Kemsleya */Daily Sketch, Sunday Graphic* i *Sunday Times/*, p.t. *Navies in Exile**. Otwiera ją rozdział o marynarce polskiej /45 stron/. Marynarce holenderskiej poświęca autor 42 strony, norweskiej — 40, francuskiej — 29, greckiej — 27, jugosłowiańskiej — 17, belgijskiej i duńskiej — po 2.

Dramatyczna opowieść o roli floty polskiej w czasie wojny obecnej rozpoczyna się od opisu zatonięcia torpedowca "Mazur". Załoga "Mazura" walczyła do ostatniej chwili: "W ciągu godziny pierwszego dnia tej największej z wojen, mała flota polska, nowa, niedoświadczona, stworzyła sobie imię. W latach następnych na imię to nie padł żaden cień, nic nie splamiło sztandaru, który powiewał nad "Mazurem".

Autor daje krótki zarys rozwoju marynarki polskiej, zestawia jej stan liczebny w chwili wybuchu wojny, ukazuje beznadziejność położenia wobec druzgocącej przewagi marynarki niemieckiej, przypomina męską decyzję przerzucenia polskich kontrtorpedowców w przeddzień wybuchu wojny z Bałtyku do Anglii, kreśli dzieje eskapady "Wilka" i "Orła" pod nosem całej floty niemieckiej do brytyjskich portów atlantyckich — wszystko to na tle walk pomiędzy "młotem niemieckich dywizyj pancernych a kowadłem rosyjskim"; miażdżącej przewagi Niemiec i uderzenia Rosji od tyłu.

Odtąd rozpoczyna się służba polskich okrętów wojennych w ramach brytyjskiej marynarki wojennej. U wybrzeży Holandii "Grom" i "Błyskawica" — pierwsze w obecnej wojnie zostały zaatakowane torpedami powietrznymi. Przez osiem miesięcy pięć polskich jednostek walczyło razem. Od czasu kampanii norweskiej rozłączyła je decyzja admiralicji brytyjskiej.

"Błyskawica" i "Grom" wzięły udział w wyprawie na Narvik. W fiordzie narvickim zatonął "Grom": "Polska marynarka przeżyła pierwszą wielką tragedię". "Burza" otrzymała rozkaz zabrania rozbitków z "Gromu", wyłowionych przez okręty angielskie. Gdy zbliżyła się do pancernika "Resolution", orkiestra brytyjska zagrała "Jeszcze Polska": "Nikt z załogi "Burzy" nie zapomni tej chwili". Odchodzący okręt polski żegnali marynarze brytyjscy chóralnym śpiewem, pieśnią banalną, ale bardziej, niż wszystkie rozkazy dzienne wyrażającą uczucia braterstwa broni z załogą dwóch małych okrętów polskich w walce o wspólną sprawę.

Po "Gromie" przyszła kolej na "Burzę". Trafiona dwiema bombami w czasie operacyj ewakuacyjnych z Calais w maju 1940 r., dowlokła się do Dovru, by stamtąd udać się do doków reperacyjnych w Portsmouth.

"Błyskawica" brała udział w ewakuacji Dunkierki; rejestr jej dokonań w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy wojny wygląda jak następuje: 27 operacyj zaczepnych, 1 bitwa morska, 23 konwoje, 3 bitwy z nieprzyjacielskimi bateriami nadbrzeżnymi, 56 patroli, 17 potyczek z nieprzyjacielskimi siłami nawodnymi, 13 potyczek z nieprzyjacielskimi okrętami podwodnymi, 56 ataków samolotów nieprzyjacielskich.

Zatopienie 10.000-tonowego transportowca "Rio de Janeiro" było najwybitniejszym czynem "Orła". Dn. 23 maja "Orzeł" wyruszył na patrol w wodach Skagerraku. Z patrolu tego nie wrócił. "Wilk" przeżył fantastyczne zderzenie z niemieckim okrętem podwodnym; wyszedł z niego cało, przypuszczalnie pozostawiając nieprzyjaciela na dnie morza.

Mimo strat, marynarka polska na obczyźnie rozwija się w dalszym ciągu. Skład osobowy powiększyły załogi okrętów szkolnych "Iskra" i "Wilia", które wojna zastała na Morzu Śródziemnym, zewsząd napływają ochotnicy: 300 z armii polskiej we Francji, 200 z armii polskiej w Anglii, 100 z Ameryki Północnej, 100 z Ameryki Południowej, później około 1000 z Rosji. Jeszcze przed zatonięciem "Gromu" marynarka polska powiększyła się o "Garlanda"; "Grom" zastąpiła "Nerissa", przemianowana na "Piorun"; przybyły trzy kontrtorpedowce "Kujawiak", "Ślązak" i "Krakowiak"; na miejsce "Orła" pojawił się "Sokół"; pozyskano amerykański okręt podwodny "Jastrząb" oraz "Dzika".

Na życzenie rządu polskiego, w uznaniu zasług bojowych "Garlanda", nazwy jego nie zmieniono na polską. "Garland" — już z polską załogą — brał udział w zatopieniu "Bartolomea Colleoni" przez "Sydney", w działaniach u wybrzeży Kalabrii, w konwojowaniu statków pomiędzy Haifą i Aleksandrią, pomiędzy Port Saidem i Maltą, w obronie wybrzeży Grecji przed najazdem włoskim. We wrześniu 1940 r. "Garland" zjawił się na Atlantyku. Tu pełnił dalej chwalebną służbę — na przestrzeniach od Reykjaviku w Islandii do Halifaxu w Nowej Szkocji. Od maja 1940 r. do lipca 1943 r. "Garland" przebył 180,000 mil — mało statków może poszczycić się takim rekordem.

"Piorun" zapisał się godnie w pościgu za "Bismarckiem": pierwszy z całej flotylli kontrtorpedowców dostrzegł pancernik niemiecki. Ale i "Bismarck" dostrzegł "Pioruna" i otworzył ogień ze wszystkich dział. Dowódca "Pioruna", komandor Pławski, coraz bardziej zbliżał się do "Bismarcka": "Dawid przeciwko Goliatowi — "Piorun" ... odpowiedział na wyzwanie niemieckie" — pisze Divine. Po zatopieniu "Bismarcka", pomiędzy kapitanem Vian, komendantem flotylli kontrtorpedowców, a komandorem Pławskim nastąpiła wymiana depesz. Vian: "Serdecznie winszuję pierwszemu z naszych okrętów, który dostrzegł nieprzyjaciela. Mam nadzieję, że będziecie z nami w najbliższej akcji". Pławski: "Jesteśmy dumni, że byliśmy z wami, i będzie dla nas największym zaszczytem, jeśli pod komendą pana weźmiemy udział w akcji przeciwko "Tirpitzowi".

Autor daje opis akcji konwojowej "Ślązaka", pomocy udzielonej przez "Burzę" kutrowi amerykańskiemu "Campbell", wyprawy murmańskiej "Garlanda". W jednej z bitew z niemieckimi okrętami podwodnymi zatonął "Harvester" /kapitan: komandor A. A. Tait/. W odpowiedzi na list kondolencyjny, brat komandora, prof. Tait, napisał: "Miesiąc temu spotkałem mego brata w Londynie; mówił w słowach najwyższego uznania o grupie, którą miał zaszczyt dowodzić....Pamiętam, że wspominając o marynarzach polskich powiedział: "Każdy z nich jest bohaterem".

Kontrtorpedowce polskie brały udział w wyprawie na Lofoty /grudzień 1941/, w wypadzie na Dieppe /sierpień 1942/, w osłanianiu konwojów do Murmańska i na Maltę, przy czym "Ślązak" wraz z jednym z brytyjskich kontrtorpedowców może poszczycić się największą ilością samolotów zestrzelonych w r. 1942.

Z okrętów podwodnych "Jastrząb" zginął na Arktyku, "Sokół" odznaczył się chlubnie na Morzu Śródziemnym /ma za sobą swego rodzaju rekord: w ciągu 58 dni służby na morzu, 930 godzin spędził zanurzony/, "Dzik" zatopił 25,000 ton statków nieprzyjacielskich.

Jednostek polskich nie zabrakło w kampanii północno-afrykańskiej. "Błyskawica" osłaniała m.in. lądowanie wojsk francuskich w Sidi Ferruch. "Piorun", "Krakowiak" i "Ślązak" były w armadzie sycylijskiej. "Piorun" ostrzeliwał Reggio, przy czym raport z tej akcji przesłał do komendy polskiej marynarki wojennej w Londynie we włoskiej kopercie urzędowej z napisem.... "Reggio Istituto Fascisto per Commercio Estero". Późniejszą stratę "Kujawiaka" powetował nowy kontrtorpedowiec "Orkan" oraz pierwszy krążownik polskiej marynarki wojennej "Dragon".

Pięć okrętów polskich — kończy Divine — uszło z Bałtyku w r. 1939. Z tych dwa zatonęły. Ale marynarka polska, silniejsza niż kiedykolwiek, cieszy się "niezrównanym imieniem". Miarą jej osiągnięć jest ilość odznaczeń brytyjskich, jaką uzyskali marynarze polscy: 11 D.S.O., 11 D.S.C. i 16 D.S.M. A wiemy, że "marynarka brytyjska odznaczeniami łatwo nie szafuje".

SCRUTATOR

* *"Navies in Exile". A. D. Divine, D.S.M., Londyn, John Murray,* 1944; *str. 4nl i* 194 *i tabl.* 7.

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE ARTYKUŁU "DWIE EMIGRACJE"

Szanowny Panie Redaktorze,

"Polska Walcząca" stale, poczynając od przełomu roku 1939-40, słusznie podkreślała wielkość porywu patriotycznego polskiej emigracji zarobkowej we Francji. Fakt to bezsporny, że ta chłopsko — robotnicza emigracja, niepomna swych krzywd i urazów, wraz z młodzieżą inteligencką z kraju, stanowiła podstawę odradzającej się armii polskiej we Francji po klęsce wrześniowej. Pamiętam, jak ze wzruszeniem opowiadałeś mi, Redaktorze, że najpilniejszymi czytelnikami pisma żołnierskiego, najbardziej słowa polskiego złaknionymi, byli polscy górnicy. Harcerze polscy rozwozili "Polskę Walczącą" po najdalszych zakątkach północnych departamentów Francji, liczba nakładu pisma urosła szybko do 17 tysięcy egzemplarzy.

Tej linii — podkreślania roli wysiłku emigracji polskiej we Francji — "Polska Walcząca" pozostała wierna przez cały czas swej egzystencji w okresie londyńskim. Nawet więcej, rozszerzyła swe zainteresowania na inne tereny emigracji polskiej: Stany Zjednoczone, Kanadę, Brazylię, Argentynę. Było to dowodem rozumu i instynktu, że gdy pewne pismo w Londynie w r. 1940 za najważniejsze swe zadanie uważało opluwanie polskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych, "Polska Walcząca" stale podkreślała ważność polskiego wychodźstwa pod względem politycznym, wojskowym i gospodarczym dla walczącego kraju. Numer amerykański "Polski Walczącej" z r. 1941, wydany w czasie podróży Wł. Sikorskiego i St. Mikołajczyka w Stanach, był jednym z wyraźniejszych przejawów tej linii, jaką stale wobec wychodźstwa zajmowała "Polska Walcząca".

Jestem skłonny uważać, że pewne ustępy, drukowanego w numerze 39 z 30 września artykułu p. Zygmunta Nagórskiego, jr. p.t. "Dwie emigracje" mogą się wydać naruszeniem tej słusznej i chlubnej linii pisma. Artykuł ten, w niektórych swych partiach, jeszcze więcej w swych napomknieniach i niedopowiedzeniach, zdaje się zawierać tezy, na które nie można się zgodzić.

Autor artykułu — nie wiadomo na jakich przesłankach — wypowiada dość arbitralne twierdzenie, że po klęsce francuskiej r. 1940, gdy "dwie ojczyzny na przestrzeni ośmiu miesięcy przestały istnieć — to było zbyt dużo nawet dla twardego górnika, nawet dla spracowanego na roli francuskiej robotnika. Zgubił się, załamał, poczuł pustkę straszliwą, brak wewnętrznego oparcia". To oparcie miał znaleźć w walce kraju i w pomocy emigrantów politycznych, którzy pozostali we Francji po klęsce r. 1940. I teraz autor artykułu usiłuje udowodnić, że choć "emigranci polityczni nie przekraczali liczby stu osób" — to jednak stworzenie organizacji oporu było niemal ich wyłączną zasługą, choć stosunkowa liczebność między nimi, a emigracją zarobkową biorącą udział w akcji politycznej była taka, jak dziewięć tysięcy do stu.

Wygłaszanie takich uogólnień o załamaniu się duchowym emigracji chłopskiej i robotniczej jest co najmniej przedwczesne w chwili, kiedy łączność między Londynem a Francją nie została w pełni odbudowana, kiedy nie rozporządzamy jeszcze całkowicie udokumentowanym i wszechstronnym obrazem nastrojów tej emigracji w latach 1940-1944. A czy jest rzeczą taktyczną pisanie takiego rodzaju nieuzasadnionych rzeczy w chwili, gdy przystępujemy do odbudowy armii polskiej we Francji, gdy znów apelujemy do tego wychodźstwa?

Nie ma także potrzeby tworzenia nowych legend. Do nich zaliczyć wypadnie twierdzenie, jakoby ta rzekomo zagubiona i załamana polska emigracja chłopsko-robotnicza we Francji bez pomocy emigrantów politycznych, którzy pozostali tam po klęsce, nie była zdolna do żadnej samodzielnej akcji. Kto tak twierdzi, ten zapomina, że polska emigracja zarobkowa we Francji wytworzyła już z końcem XIX-go wieku swe bogato zróżniczkowane formy życia organizacyjnego, że znalazła ona w kościele, szkole, prasie, stowarzyszeniach oświatowych, organizacjach młodzieży swe bujne uzewnętrznienie. Bez tej masy, bez pracy tych organizacyj nie było by ani armii polskiej po klęsce wrześniowej, ani organizacji oporu w czasie okupacji.

Czas skończyć z patronackim, protekcjonalno — poklepującym stosunkiem wobec tej masy. Kto przybiera tę postawę może spotkać się łacno z tym odruchem, jaki niedawno, słusznie przypomniał stary działacz emigracyjny z Francji p. M. Kwiatkowski. Oto, gdy na jednym z zebrań górników polskich w północnej Francji często zmieniający się urzędnicy konsularni dawali wciąż sprzeczne pouczenia masie górników, jeden ze starych górników zwracając uwagę na niestosowność i niewspółmierność tego rodzaju uwag — ujął to w taką prostą, lecz jakże trafną formułę: — "Panowie, dajcie pokój pouczeniom, przecież wy tu ptoki, a my krzoki".

EDWARD ŻYWOŃ

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 4477 książek

NA PACZKI OD SERCA

W załączeniu przesyłam Postal Order na £2.11.0 /dwa funty, jedenaście szyl./ na papierosy dla jeńców. Pieniądze te pochodzą ze zbiórki, którą swego czasu urządził mój poprzednik w szpitalu.

K. Śl. por.

* * *

Przesyłam "bezimiennie" £1 /jeden funt/ na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sirs,

Please will you accept the enclosed small gift of 25/- which the children /small/ of this school would like to give to Polish children.

The school is trying to link up with children in other European countries, and would like to know of any practical way in which this is at present possible, other than giving money. They have asked if it is possible to write letters to Polish children in Britain, and if gifts of books or toys for small children would be any use? The children here are nearly all under 10 years old. Have you many in need of about the same age?

Yours sincerely,

V. S. Croucher /Miss/

SZPITAL DLA DZIECI W POLSCE

Dear Mrs. Herbick,

I have pleasure in sending £1 my donation for the Children's Hospital in Poland.

I wish every success to the Sale of Work.

I am,

Yours sincerely,

Ann. E. Cormack

Na pomoc Warszawie: £462

W załączeniu przesyłam 3 Postal Order na łączną sumę £2 sh.9 /dwa funty, dziewięć szylingów/ na fundusz pomocy ludności Warszawy.

Suma ta została zebrana ze składek żołnierzy plutonu radiotelegrafistów . . . Szwadronu Łączności Dyw. Gren. Panc.

Dowódca Łączności
ppłk. G.

* * *

W załączeniu przesyłam na "Fundusz Pomocy Warszawie" czek na £1.10.0 jako nieprzyjęte honorarium za artykuł do Biuletynu "Światpolu" oraz M.O. na £2 zamiast kwiatów na grób ś.p. Ks. K. Pogłódka.

Henryk Majchrzak

* * *

Zamiast wieńca na trumnę ś.p. ks. kapelana P. Samulskiego przesyłają na pomoc ludności Warszawy sumę £2 sh.10.

Alumni Seminarium Duchownego w Bearsden

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Załączam czek na sumę £10 /dziesięć funtów/ z prośbą o przekazanie na fundusz pomocy dla cierpiących w Warszawie.

Z poważaniem

J.A.N.

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam money order na sumę £4 z prośbą o przekazanie na fundusz "Pomocy Warszawie".

Z poważaniem

Janina Andrzejewska

Redakcja "Polski Walczącej",

W załączeniu przesyłam "Money Order" na sumę £7.4.0 /siedem funtów, cztery szylingi/ złożone przez personel Biura Rozrachunkowego M.O.N. na pomoc dla Warszawy zamiast wieńca na trumnę ś.p. ks. kapelana Samulskiego.

Szef Biura Rozrachunkowego
M.O.N.

* * *

. . . Kolumna Samochodów Sanitarnych na koncercie pożegnalnym zebrała £27 sh.12 d.6 /słownie: dwadzieścia siedem £, dwanaście sh., sześć d./, którą to kwotę przekazuje na "Pomoc dla Warszawy".

D-ca . . . Kolum. Sam. Sanit.
E. H. kpt.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",

Pani Gladys Bain, 63, Southwold Mansions, Widley Rd., wręczyła mi £1 z przeznaczeniem na pomoc Warszawie, który w załączeniu przesyłam.

Z poważaniem

Stefan K. por.

Słuchacze V kursu W.S. Lotn. wpłacili na pomoc jeńcom oficerom Armii Lądowej z kampani wrześniowej 1939 r. od VI — X.44 r. kwotę £85.12.9.

Oficerowie W.S. Lotn. wpłacili na pomoc Walczącej Warszawie £28.0.0.

Z poważaniem

W.J.P. mjr. pil.
Starszy Kursu

W Szkole Służby Zdrowia któregoś wieczora rozpoczęła się cicha i poważna dyskusja na temat czynienia starań o niesienie moralnej i materialnej pomocy Rodakom walczącym w Warszawie i Pruszkowie k/Warszawy i w wyniku tej dyskusji zapadła uchwała o konieczności dopomożenia i ulżenia cierpiącym. — Następnego dnia posypały się hojne datki na ten cel.

Ogólnie zebraną dotychczas kwotę £37 sh.1 /trzydzieści siedem funtów i jeden szyling/ przekazuję przy niniejszym do Redakcji "Polski Walczącej".

Niech Najwyższy Stwórca tego świata stokrotnie wynagrodzi szlachetnych ofiarodawców i gorąco prosimy Pana Boga, by pokierował łaskawie tak, by płynąca ze wszystkich stron pomoc materialna — dotarła jak najszybciej do Rodaków w Warszawie i Pruszkowie.

Florian Stawiński

* * *

£1 /jeden funt/ na pomoc Warszawie.

Absolwentka gimn. Królowej Jadwigi w Warszawie

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £96.6.6 /słownie: dziewięćdziesiąt sześć funtów, sześć szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £462.3.2½ /słownie: czterysta sześćdziesiąt dwa funty, trzy szylingi, dwa i pół pensa/.

DLA RANNYCH ŻOŁNIERZY

Do Redakcji "Polski Walczącej",

Dla uczczenia pamięci kpr. Michała Goldina z 1 Dywizji Pancernej, poległego w Normandii, sumę sh.10 na fundusz opieki nad rannymi żołnierzami przesyłają świetliczarki

Janina Brzozowska i Renata Dzianottowa

* * *

Celem uczczenia ś.p. majora Jana Maciejowskiego oraz Żołnierzy wszystkich stopni Pułku Strzelców Konnych poległych na polach bitew we Francji, Belgii i Holandii — składam £1 /jeden/ na paczki dla rannych żołnierzy z I. Dywizji Pancernej.

Janina Brzozowska
świetliczarka

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",

Dla uczczenia pamięci ppor. Janusza Tarnowskiego i pchor. Janusza Jodko-Narkiewicza z 1 Dywizji Pancernej, poległych w Normandii, sumę £1 na fundusz opieki nad rannymi żołnierzami przesyła

świetliczarka
Renata Dzianottowa

* * *

W załączeniu przesyłam Postal Order na kwotę sh. 7/6 /słownie: siedem szylingów, 6d./, ofiarowanych przez st. strz. No. Władysława dla rannych żołnierzy. W.P.

Kierownik
Kpt. Ma. Mo.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £2.17.6 /słownie: dwa funty, siedemnaście szylingów i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi — z przeznaczeniem na paczki dla rannych żołnierzy.

UPROSZCZONY PODRĘCZNIK JĘZYKA POLSKIEGO DLA SAMOUKÓW

V. SWICZ

"FIRST STEPS IN POLISH"

ukazał się w druku.

Do nabycia w księgarniach polskich

cena sh. 4/6.

Głos krytyka angielskiego: *"This is not only a grammar, but an entirely new presentation of a language"*.

Ś.P.
JAN MACIEJOWSKI
major W.P.
Dowódca . . . Pułku Strzelców Konnych
poległ na Polu Chwały pod Chambois dnia 20.VIII.1944 r.
o czym zawiadamia
. . . Pułk Strzelców Konnych

Ś.P.
WŁADYSŁAW NOWAK
por. rez. W.P.
poległ na Polu Chwały pod Louvieres en Auge w dniu 17.VIII.1944 r.
o czym zawiadamia
. . . Pułk Strzelców Konnych

Ś.P.
BOLESŁAW ROUPPERT
ppor. W.P.
poległ na Polu Chwały pod les Moutiers en Auge w dniu 17.VIII.1944 r.
o czym zawiadamia
. . . Pułk Strzelców Konnych

Ś.P.
JÓZEF LEONARD WASOWSKI
por. rez. W.P.
poległ na Polu Chwały pod Jort w dniu 15.VIII.1944 r.
o czym zawiadamia
. . . Pułk Strzelców Konnych

Ś.P.
ZBIGNIEW MAKSYMOWICZ
ppor. rez. W.P.
poległ na Polu Chwały pod Louvieres en Auge w dniu 17.VIII.1944 r.
o czym zawiadamia
. . . Pułk Strzelców Konnych

RANNI ŻOŁNIERZE

pochodzący z terenów Polonii Zagranicznej proszeni są o podawanie swoich adresów do Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

KOMUNIKAT

W ostatnich dniach wyszedł z druku Nr. 47 "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich", wydawnictwa Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii, pod ogólnym tytułem "Polska walczy".

Numer zawiera przedruki z polskiej prasy podziemnej: opowiadania, artykuły, wiersze, anegdoty, pieśni i piosenki /z nutami/, które mówią o wysiłkach, cierpieniach i wzlotach myśli twórczej w obecnym życiu Polski pod ziemią.

Całość ilustrują liczne fotografie nadesłane z kraju.

POSZUKIWANIA

Poszukiwani: TADEUSZ i BOLESŁAW OGRODNIK ze Lwowa synowie Zygmunta i Józefy.

TADEUSZ RYBICKI z Krzemieńca, syn Marii i Kazimierza.

STANISŁAW GĘBAROWICZ z 40 pp. ze Lwowa.

Wiadomości należy kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

KOMUNIKAT

Polacy z Prus Wschodnich, Pogranicza, Śląska Opolskiego, Westfalii i innych części Niemiec proszeni są o zgłaszanie swych nazwisk i adresów do Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

Ś.P.
STANISŁAW BOBER
kapral
prawy żołnierz, dobry kolega, uczestnik walk w Norwegii, zginął śmiercią żołnierza
dnia 12 sierpnia 1944 r.
przeżywszy lat 23,
o czym zawiadamia
Przyjaciel
K. KRAW

KOMUNIKAT O KURSIE OPIEKI SPOŁECZNEJ

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej podaje do wiadomości, że staraniem British Council zostanie w dniu 30 października uruchomiony cztero-miesięczny Kurs Pracy Społecznej Kobiet. Kurs ma na celu przygotowanie słuchaczek do pracy zwłaszcza na takich placówkach opieki społecznej, jak stacje repatriacyjne, punkty dożywiania, pogotowia opiekuńcze dzieci, biura informacyjne dla ludności i t.p.

Program kursu przewiduje wykłady /w języku angielskim/ prowadzone przez wybitnych znawców zagadnień społecznych, oraz zajęcia praktyczne, a więc zwiedzanie brytyjskich placówek opieki społecznej i praktykę w zakładach brytyjskich.

Zgłoszenia na kurs przyjmuje do dnia 20 października Dział Rekonstrukcji Socjalnej Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej /1, Sloane Gardens, S.W.1, Flat 4/. Do zgłoszenia należy dołączyć własnoręcznie napisany życiorys z podaniem wieku, wykształcenia ogólnego i zawodowego, oraz przebiegu dotychczasowej pracy zawodowej i społecznej.

Pewnej liczbie kandydatek Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej udzieli stypendiów na pokrycie kosztów utrzymania oraz opłat za kurs. Kandydatki ubiegające się o stypendium, winny do zgłoszenia na kurs dołączyć podanie o przyznanie stypendium.

SPIS RZECZY:

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.